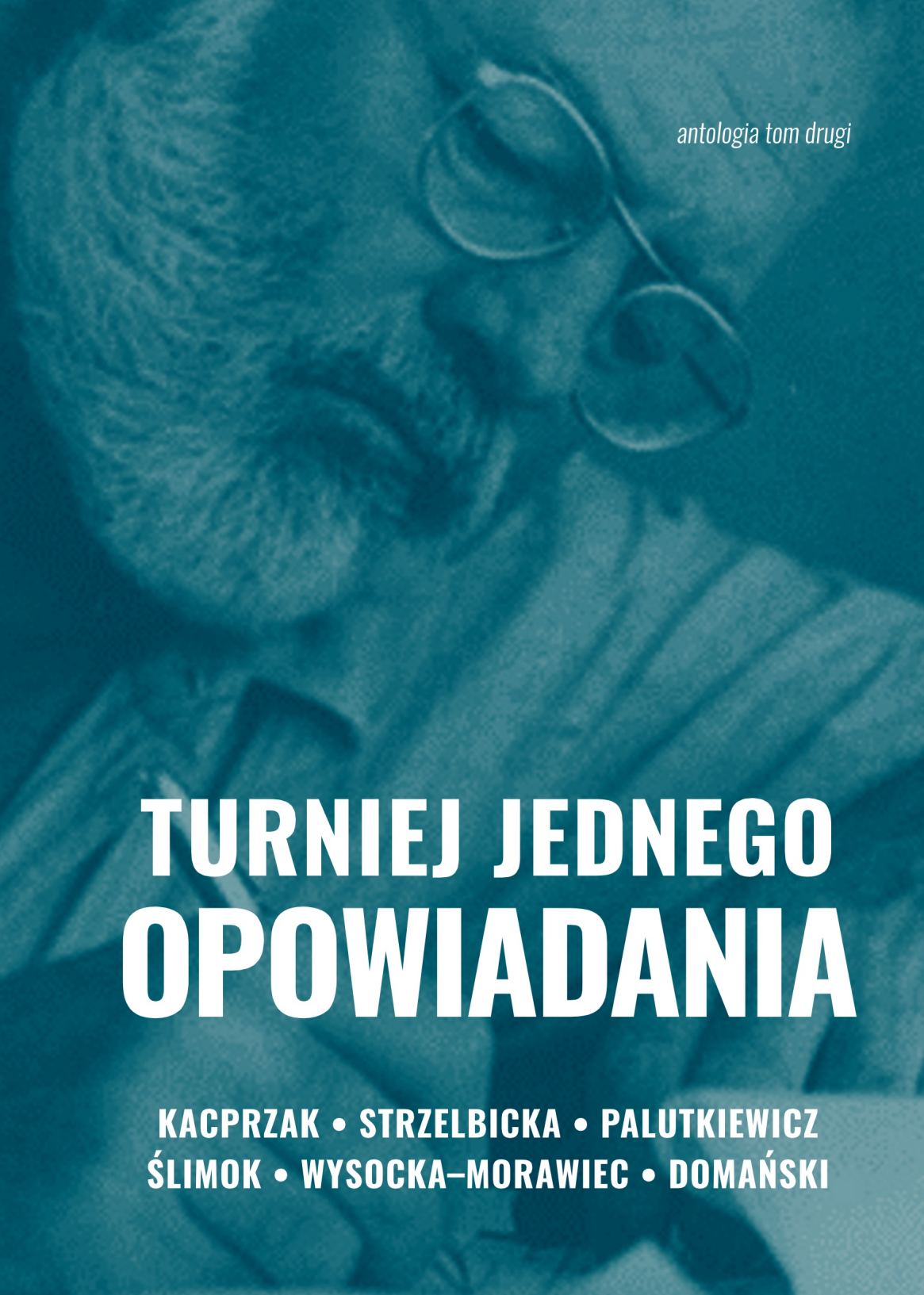




antologia tom drugi

TURNIEJ JEDNEGO OPOWIADANIA

**KACPRZAK • STRZELBICKA • PALUTKIEWICZ
ŚLIMOK • WYSOCKA-MORAWIEC • DOMAŃSKI**

**TURNIEJ JEDNEGO
OPOWIADANIA
ANTOLOGIA. TOM DRUGI**

CZĘSTOCHOWA 2019

**KACPRZAK • STRZELBICKA • PALUTKIEWICZ
ŚLIMOK • WYSOCKA-MORAWIEC • DOMAŃSKI**

**TURNIEJ JEDNEGO
OPOWIADANIA
ANTOLOGIA. TOM DRUGI**

RED. MICHAŁ WILK

CZĘSTOCHOWA 2019

Turniej Jednego Opowiadania. Antologia. Tom
drugi, red. Michał Wilk, Częstochowa 2019.

Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”
Koło Literackie Anafora

SPIS TREŚCI

Intro	013
Kuba Kacprzak	
Pięć minut	023
Jak co dzień	027
Barbara Strzelbicka	
Uprzejmie donoszę	035
Emilia Ślimok	
Sen	041
Marek Palutkiewicz	
Towarzystwo kolejkowe	049
Dziewiątka	055
Bajka nie całkiem dla dzieci	061
Co znosi psychika rzeźbiarza	067
Paulina Wysocka-Morawiec	
Cmentarny dołek	075
Skrzypce	080
Sławomir Domański	
Ostatnia faza	087
Kolega	097
Koza	101
Outro	107

INTRO

Prawdziwa mądrość zaczyna się,
kiedy przestajesz cytować innych ludzi...

Chuck Palahniuk

Redaktorski obowiązek wymaga wprowadzenia i nakreślenia choćby delikatnej lekturowej mapy, dzięki której Czytelniczki i Czytelnicy niniejszej Antologii mogą przygotować się do czytania, odnaleźć się w przestrzeni prezentowanych opowiadań, a przede wszystkim mogą dowiedzieć się — jeśli tego nie wiedzą — co to za książka. A książka to dość niezwykła.

Turniej Jednego Opowiadania. Antologia. Tom pierwszy to — jak sam tytuł zresztą wskazuje — antologia tekstów, które są pokłosiem konkursowych zmagowań w ramach Turnieju Jednego Opowiadania. Literackie pojedynki na opowiadania odbywały się raz

w miesiącu od czerwca do listopada w roku dwa tysiące osiemnastym w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie.

W tym czasie odbył się drugi sezon TJO. Łącznie przygotowaliśmy sześć epizodów, w tym jeden w ramach Festiwalu Dekonstrukcji Słowa Czytaj! A jeśli ktoś lubi statystyki, to dodam, że łącznie na Turnieju pojawiło się piętnaście uczestniczek i dwudziestu uczestników — łącznie trzydzieści pięć osób (jest to suma wszystkich obecności, nie pojedynczych osób, które mogły przyjść więcej niż raz). Zatem publiczność, wynosząca łącznie osiemdziesiąt dwie osoby, mogła odsłuchać trzydzieści pięć opowiadań. Daje to średnio dwie i pół uczestniczki oraz trzy i nieskończoną liczbę trójek po przecinku uczestników, pięć przecinek osiem i trzy (w nieskończoność) tekstów oraz trzynaście i wiele szóstek po przecinku osób na wydarzenie.

Tym samym tom drugi turniejowych opowiadań tworzy trzynaście tekstów łącznie sześciu osób: trzech autorek i trzech autorów. Zdecydowana większość opowiadań to teksty zwycięskie, jedynie trzy teksty są spoza tych nagrodzonych. Przyjęta otwarta formuła naboru tekstów do Antologii pozwalała dołączyć do tomu również prace osób niebiorących udziału.

tu w prozatorskich zmaganiach — takie osoby jednak się nie znalazły.

Z tej statystyki oczywiście nie wynika wcale jakość tekstów; o tym zaświadczyć musi antologia. Dlatego, Droga Czytelniczko oraz Drogi Czytelniku, na własne oczy musisz przekonać się, jak czyta się te teksty. A to tylko około sześćdziesiąt osiem osiemset osiemdziesiąt dziewięć znaków łącznie ze spacjami — by statystyce stało się zadość, jeśli wierzyć statystyce edytora tekstu — nie uwzględniając tego Intro, które liczy dodatkowe około osiem tysięcy sto znaków ze spacjami.

Z kolei czas poświęcony na lekturę pojedynczych opowiadań nie powinien wynieść zbyt wiele, na pewno nie dłużej niż pięć minut. Dlatego, nawet uwzględniając kilkunastominutową przerwę na kawę lub ze dwie czy trzy pięciominutowe przerwy na papierosa lub przerwy na jedno i drugie, jak kto woli, a może na coś jeszcze innego, co da się zrobić szybko i przyjemnie, można w około dziesięćdziesiąt minut przeczytać całość. A co szybsze w czytaniu osoby może przeczytać Antologię w drodze powrotnej do domu lub w przerwie na... — tu już każdy sobie wstawi, co uzna za stosowne.

To pięć minut jest tutaj kluczowe, ponieważ podczas TJO obowiązującym limitem, wynikającym wprost

z regulaminu i dość rygorystycznie przestrzegany podczas wydarzenia, nie była liczba znaków, czyli objętość tekstu, tylko czas trwania odczytu tekstu, odczytu na żywo, dokonywanego przez osobę, która tekst napisała. I jak się okazało, to pięć minut, czyli trzysta sekund, stało się nie tylko opresyjnym ograniczeniem, ale także stymulującą prowokacją. Co udowadnia otwierający Antologię tekst Jakuba Kacprzaka, zatytułowany właśnie — jakże by inaczej — „Pięć minut”.

W tej autoironicznej refleksji, odnoszącej się do zasad TJO, autor podnosi jednak zagadnienie względności czasu, miary niektórych wydarzeń ocenianych ze względu na długość czy też krótkość trwania. Możemy więc zadać sobie pytanie: czy coś, co jest istotne — dla pojedynczego człowieka czy dla zbiorowości — wymaga czasu wiele czy nie? Innym spojrzeniem na bieg czasu jest drugie opowiadanie Kacprzaka, zatytułowane „Jak co dzień”, przedstawiające poruszający obraz utraconej relacji między dwojgiem ludzi. Obraz zostaje wywołany wspomnieniem, powracającym każdego dnia, a więc okrucieństwem minionego, odnawianym co dzień, czyli odnawianym w czasie, przez co przeszłe miesza się z teraźniejszym, zadając przy tym pytanie o przyszłe.

Podobnie to co było wkracza na teren tego co jest, by wpływać na to co będzie w opowiadaniu Barbary Strzelbickiej. Choć właściwie „Uprzejmie donoszę” opowiada o gorliwości czy też nadgorliwości w przestrzeganiu przepisów, o tym, jak czasem zbyt przywiązanie do litery prawa może zaszkodzić a nie pomóc. Jednak, jak pokazuje tekst Strzelbickiej, można nauczyć się na błędach.

Z problemem wyciągania wniosków oraz radzeniem sobie z konsekwencjami swoich decyzji zmagają się bohaterowie następnego opowiadania. „We Śnie”, którego autorką jest Emilia Ślimok, poznajemy zagadkową historię dwojga ludzi, który zarazem chcą i nie chcą się rozstać, którzy nienawidzą się (choć znamy tylko perspektywę kobiety), a mimo to nie potrafią powstrzymać się przed spotkaniem.

Zupełnie inny repertuar problemów, zarówno życiowych, jak i literackich prezentuje kolejny autor, autor najliczniejszych, bo aż czterech tekstów – Marek Palutkiewicz. Jego „Towarzystwo Kolejkowe” obnaża drapieżną rzeczywistość (choć chciałoby się, by to była tylko literacka fikcja) kolejkowych zmagani w przychodni lekarskiej – opowieść gorzka, ale i pełna humoru. „Dziewiątka” to opowiadanie o nieoczekiwanym

zwrocie akcji, o zwolnieniu imprezowych hamulców, które skutkuje czymś, czego z pewnością nie da się zapomnieć. Bohater rozpalony namiętnością musi zmagać się nie tylko z płomieniami swojej chuci, ale... Z czym konkretnie, tego dowiemy się już z tekstu. Warto też docenić humorystyczną siłę alternatywnych historii, przedstawianych przez Palutkiewicza. Bajkowy motyw księżniczki zakłętej w żabę jest doskonale znany, zarówno tym mniejszym, jak i większym. Co jednak się stanie, jeśli podejście do żaby, gadającej o swoim szlachetnym rodowodzie nie będzie należało do zbyt entuzjastycznych? O tym opowiada już „Bajka nie całkiem dla dzieci”, której bohaterem jest Król Rupert, postać występująca także w następnym tekście — „Co Znosi Psychika Rzeźbiarza”. To korpoopowieść przeniesiona w zupełnie inne realia, w sam raz dla ludzi znających siłę dedlajnu i rozumiejących, co to znaczy ciągłe życie na asapie.

Dedlajn w źródłostowie (choć dla niektórych pewnie w sposób dosłowny) odnosi się do śmierci. I tak, w grobowej, ale nie aż tak posępnej aurze utrzymany jest kolejny tekst, „Cmentarny dotek”, autorstwa Pauliny Wysockiej-Morawiec, która zaprezentowała opowieść o poszukiwaniu pośmiertnego spokoju, podjętym przez

duszę osoby zmarłej. Z kolei drugie opowiadanie tej autorki – „Skrzypce” – przedstawia historię tytułowego instrumentu, związaną z jego muzycznym życiem, uwikłanym w życie człowieka. Tu więc miesza się, czy raczej spotyka, to, co ludzkie i nieludzkie, a może nawet pozaludzkie.

Podobnych wglądów w granice rzeczywistości dokonuje autor zamykający Antologię, czyli Sławomir Domański. I tak „Ostatnia faza” prezentuje niebanalną egzystencjalną wiwisekcję, sprowokowaną poalkoholowym zwidem, dającą jednak wiele do myślenia. Zresztą, podobnie do zastanowienia prowokuje „Kolega”, zawierający egzystencjalne rozważania na temat życia i śmierci, tego co jest i było, w kontekście pogrzebowych okoliczności, które często wywołują w głowie człowieka takie myśli i pytania. Kwestia ludzkiej egzystencji, ludzkiego trwania, człowieczego zawieszenia w rzeczywistości, zdaje się przewodzić w tekstach Domańskiego. Szczególnie wyłania się w kończącym antologię opowiadaniu zatytułowanym „Koza”, w którym autor przedstawia historię o wykluczeniu, nieobecności i ciszy.

Kończąc już to redaktorskie intro, mam jednak nadzieję, że Czytelniczkom i Czytelnikom niczego po lek-

turze Antologii nie zabraknie. A następująca po zamknięciu książki cisza będzie jak najlepszą rekomendacją, oznaką, że warto było poświęcić czas na czytanie. Nie pozostaje więc nic innego, jak życzyć udanej lektury, miłego obcowania z przedmiotem, jakim jest ta książka, ideą, jaką jest Turniej Jednego Opowiadania oraz zamieszczonymi w niniejszym Antologii opowiadaniemi.

**KUBA
KACPRZAK**

PIĘĆ MINUT

Dawno już nie pisał. Przynajmniej nie w ten sposób. Sam nie pamiętał. Ostatni raz chyba w ogólniaku. Teraz patrzył na ekran monitora, na kłujący w oczy biały arkusz, na migoczący kursor. Masz swoje pięć minut — pomyślał.

Co można powiedzieć w pięć minut? Tyle czasu nie wystarczy nawet na przygotowanie stanowiska. Rzucił okiem na biurko, na niedbale zgarnięte resztki kolacji, rozsypany tytoń, niedopite piwo. Na cały ten syf, który zostawił sobie na później. Pewnie na nigdy. Nie miał czasu, przecież miał tylko pięć minut.

Trzysta sekund. Co można opowiedzieć w tym czasie? Co WARTOŚCIOWEGO można opowiedzieć w tym czasie? To śmieszne. Wielkie historie czyta się godzinami, powieści zajmują ludziom całe dni. A ty masz tylko pięć minut i masz pokazać co potrafisz. Zdobyć

serca i umysły. Kpina. W pięciu minutach nie zmieścisz nawet dobrej przedmowy.

Palce wiszą nieruchomo nad klawiaturą, zastygłe w oczekiwaniu na sygnał od głowy, od tej głowy zwykle przepełnionej wielkimi myślami, które tylko czekają, żeby przelać je w słowa. A teraz nic. Pustka.

W pięć minut Martin Eden nie zrobił kariery pisarza. W pięciu minutach nie zmieściło się bombardowanie Drezna u Vonneguta, ani d'Artagnan nie wstąpił do muszkieterów. W pięć minut stary człowiek nie złowił nawet tego pieprzonego marlina. Raskolnikow pewnie dłużej ostrzył siekiere.

Zabłąkana ćma uderzyła w pojedynczą żarówkę wiszącą pośrodku pokoju. Szamotała się wściekle szukając wyjścia z papierowego klosza, do którego wleciała przecież na własne życzenie. Tak blisko celu, który parzy i topi jej szare skrzydła. Przecież tego chciałaś — pomyślał — masz swoje pięć minut, oświetlona jak nigdy wcześniej. Korzystaj! Pięć minut. Może to połowa jej życia? Cholera wie. Nigdy się tym nie interesował.

A przecież świat pełen jest takich szarych ciem. Szarych ludzi, marzących o swoich pięciu minutach, mozolnie brnących przez mroczną codzienność i wy-

patrujących na horyzoncie tej pojedynczej żarówki, która ogrzeje ich chociaż na chwilę i wytoni z ciemności świat, jakiego nigdy jeszcze nie widzieli. A ta żarówka nigdy się nie zapala. Pięć minut nigdy nie nadchodzi. Prawie nigdy. Nieliczni szczęśliwcy w euforii podlatują zbyt blisko i żar topi im skrzydła.

Litery zdawały się spoglądać na niego z klawiatury z kpiącym oczekiwaniem, szydziły z jego zastygłych, bezradnych palców. Nigdy nie otrzymał swoich pięciu minut od tylu osób, od których pragnął je otrzymać. A teraz obcy ludzie chcą, ot tak, poświęcić mu tę część swojego życia. Dają mu te pięć minut, jakby od niechcenia, rzucając przy tym „Masz, zabaw nas”. A w głowie pustka.

Ale... czy naprawdę potrzeba aż tyle czasu, by powiedzieć o czymś ważnym?

Przecież pięciu minut nie trwa pierwsze kopnięcie dziecka w brzuchu matki, które mówi „tak, jestem tu i żyję”. Pięciu minut nie trwają jego pierwsze kroki, początek drogi przez życie.

Uśmiechnął się lekko do swoich myśli. Palce nad klawiaturą jakby lekko drgnęły.

Pięciu minut nie trwał jego pierwszy pocałunek, który uzmysłowił mu, czym jest szczęście. Ani nawet

jego pierwszy raz, który zdefiniował jego męskość. Pierwsza wymiana spojrzeń z tą, która nadała jego życiu blask. Ani też...

Zamknął oczy. Wargi zadrżały mu, nim uspokoił je głęboki oddech.

Pięć minut. Nawet tyle nie potrwało zburzenie jego świata. Trzęsienie ziemi, pęknięcie, rysa biegnąca wzdłuż fundamentów jego wartości i imperatywów, aż do strzelistego gmachu jego wizji i planów, który runął w gruzach beznadziei, kiedy wypowiedała słowa: „Tak, spiam z nim”. Zaledwie dwie sekundy.

Dwie sekundy. Ekspresowe wyburzenie.

Ile takich zniszczonych światów, osobistych zgłiszczy, zmieści się w pięciu minutach?

Nie spostrzegł nawet, kiedy ucichło szamotanie się ćmy.

Są rzeczy wielkie, o których można mówić godzinami. Ale są też rzeczy na swój sposób ogromne, które mieszczą się w ułamku sekundy.

Otworzył oczy. Cofnął dłonie, które zdążyły już zdrętwieć, oczekując na rozpoczęcie pisania.

Nie chciał skracać wielkości. A jeszcze bardziej nie chciał rozdrabniać ogromu.

Zatrzasnął ekran komputera, wstał.

Nie, postanowił. Dzisiaj nic nie napisze.

JAK CO DZIEN'

Zaparkował pod blokiem, równo między białymi liniami miejsca parkingowego. Zaciągnął hamulec, wrzucił luz. Po chwili zwolnił dźwignię, cofnął samochód, poprawił, parkując tak samo równo jak za pierwszym razem. Zaciągnął ręczny. Dotknął kluczyka w stacyjce, ale nie gasił silnika. Nie chciał jeszcze wysiadać.

Stary ford pracował nierówno, obroty falowały. Wstuchiwał się w mruczenie silnika, jak co dzień odwlekając moment opuszczenia samochodu. Oparł głowę o fotel, przymknął oczy. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Zgasił silnik.

Wciąż nie otwierając oczu, położył ręce na kierownicy, machinalnie zaczął ją gładzić. Kluczyk wciąż tkwił w stacyjce, radio grało cicho. Rozpoczął swój codzienny rytuał. Jego palce to zaciskały, to rozluźniały się na obręczy, badały całą jej długość, sprawdzały,

czy wszystkie pęknięcia i rysy są na swoim miejscu. Wdech. Wydech.

Minuty mijały powoli przy akompaniamencie muzyki. Radio grało The Doors, jak co dzień od dwunastu lat. Ta sama płyta, ten sam samochód i ten sam rytuał, którego jedynym celem było oddalenie chwili, kiedy będzie musiał wrócić do pustego mieszkania. Pracę skończył prawie półtorej godziny temu, ale krążył jeszcze po mieście bez celu. Bez celu i bez sensu. W końcu musi wysiąść.

Cisza. Zmiana utworu. Subtelna gitara. Pierwsze takty „Riders On The Storm”. Rozpoznaje kawałek już po pierwszej nucie, jak w tym teleturnieju. Kiedy to było?

Boże, jak to się stało? Kiedy to się stało?

Pamiętał, jak kiedyś, w poprzednim życiu, w innym życiu i w innym świecie, a może tylko w innym śnie, jak siedzieli na podłodze, pijąc wino i śmiejąc się do rozpuku, wtuleni w siebie jakby byli jednym ciałem, a spod stolika z kaseciaka leciał ten sam kawałek. Ile to już lat? Dwadzieścia pięć? Sześć? Dokładnie nie pamiętał. Kiedyś dla niego liczyła się tylko ona, a dla niej tylko on, a cała reszta była jedynie tłem, nieprzerwanym nurtem zdarzeń, który opływał ich jak samotną skałę, niezdolny ich poruszyć.

A może nigdy tak nie było? Może nic takiego nigdy nie miało miejsca, tylko to jego zużyty czterdziestoletni umysł roi sobie jakieś obrazy z przeszłości? Ale przecież musieli się jakoś poznać. Studia, pierwsze wspólne mieszkanie, butelka czerwonego wina i „Riders On The Storm” lecące ze starego magnetofonu. Pamięta to, jakby zdarzyło się wczoraj, ale nie może tego dopasować do swojego życia. A potem odeszła. Czy to on odszedł?

Wdech. Wydech. Wyciągnął kluczyki, radio zamarło. Zatrzasnął za sobą drzwi samochodu, dwukrotnie sprawdził, czy są zamknięte. Ruszył niespiesznym krokiem w stronę mieszkania.

Najpierw wspólne mieszkanie, potem ślub. I cały czas tylko on i ona, nie potrzebowali nic więcej. Potem pojawiła się Zuzia, ich największy skarb. I nie mogli zrozumieć, jak przez tyle lat mogli potrzebować wyłącznie siebie, jak mogli wystarczać sobie nawzajem, kiedy nagle pojawiła się Zuzia i tej Zuzi ciągle było im mało.

Wspinał się powoli po schodach, po raz kolejny, jak co dzień przypominając sobie wszystko od nowa, marząc o obrazach, których prawdziwości nawet nie był pewien.

Byli w trójkę przez osiem lat, on, ona i Zuzia, tego był pewien. I było wspaniale. Później przyszła choroba. I znowu byli tylko w dwójkę, on i ona. Ale już w żaden sposób nie mogli sobie wystarczać. I ona odeszła. Czy to on odszedł?

Wsunął klucz w drzwi wejściowe. Wdech. Wydech. Przekręcił.

Wszedł do pustego mieszkania i natknął się na nią już w korytarzu, jak chowała do szafy starą sukienkę w stokrotki. Przez ułamek sekundy na jej twarzy malowało się zawstydzenie, jakby było jej głupio, że dała się na tym przytapać. A może tylko mu się przewidziało? Nie zdążył się nad tym zastanowić, już wycofywała się z korytarza. Szła wpatrzona w podłogę, tuż przy ścianie, przyklejona do boazerii, żeby przypadkiem go nie dotknąć, nie mieć z nim żadnego kontaktu. Wzrok jej ślizgał się po podłodze, zręcznie omijając jego stopy. Mechanizm ten wyćwiczyła już wiele lat temu.

On też automatycznie przyklęknął tuż przy drzwiach, żeby zdjąć buty, żeby nie blokować jej wejścia do kuchni, gdzie chowała się zawsze po jego przyjściu, minimalizując ryzyko rozmowy. Rozmowy? Wymiany kilku słów.

Boże, jak to się stało? Kiedy to się stało?

Najpierw pojawił się ból. Później rozczarowanie, poczucie braku. Straty. I jeszcze więcej bólu. Przestali rozmawiać. Przestali nawet na siebie patrzeć. I ona odeszła. On odszedł. Odeszli oboje. Dwanaście lat temu. Nie potrafili już żyć tak, jak kiedyś. Ale chyba jeszcze bardziej nie potrafią żyć tak, jak teraz.

Spojrzał na wiszącą w szafie sukienkę w stokrotki. Bująta się jeszcze na wieszaku, dopiero co odłożona. Chciała ją wyrzucić już wiele lat temu, kiedy jeszcze wszystko było jak dawniej, ale nie mogła. Zbyt wiele wspomnień. Pamiętał, jak tańczyła w niej boso w ich pierwszym mieszkaniu, jeszcze na studiach, na gołej podłodze, gdzie jedynym wyposażeniem był materac, stolik i magnetofon. Nie mówił jej, że wciąż to pamięta. Nie sądził, że w ogóle cokolwiek mu odpowie. A gdyby mu odpowiedziała, bałby się tej odpowiedzi. Że tego nigdy nie było, że to jego stary zużyty umysł poi go urojeniami. Ale przecież nie odpowiedziałaby nic. Nie odpowiadała mu od dwunastu lat. A on od dwunastu lat nie pytał.

Wdech. Wydech. Ruszył do salonu, by resztę dnia spędzić przy gazecie, krzyżówce, książce, zająć się czymkolwiek w tym pustym mieszkaniu. Wyrzucił z głowy obraz sukienki.

A ona stała w kuchni, oparta o parapet, wpatrzona w szybę, nucąc cichutko pod nosem The Doorsów. Tak, żeby nie usłyszał. Jak to się stało? — myślała. Czy to byliśmy my? Czy to było inne życie? Sen? Nuciła „Riders On The Storm”, jak co dzień. A po jej policzku sływała pojedyncza łza. Jak co dzień.

**BARBARA
STRZELBICKA**

UPRZEJMIE DONOSZĘ

Marianna była legalistką. Doszła do tego drogą wyboru już jako osoba dojrzała. Nie została wychowana w duchu poszanowania prawa, bo nikt nie miał do tego głowy. Poza tym prawo było komunistyczne, a zatem obce, trzeba się więc było nauczyć takiego z nim obchodzenia, by wilk był syty i owca cała. Największym sukcesem było, gdy ktoś przedstawiciela tak zwanego prawa okpił. Na co dzień wystarczały przykazania oraz kontrola społeczna. Jednak na pewnym etapie życia Marianny sposób nabyty w dzieciństwie stał się zawodny. Zrozumiała, że aby być bezpieczną, powinna prawo znać i go przestrzegać. Nie, nie została prawniczką — ograniczyła się do wycinków przepisów, głównie związanych z pracą, ale za to wgryzała się w nie dokładnie. Dawalo to wymierne korzyści — ułatwiało podejmowanie decyzji i ponoszenie za nie odpo-

wiedzialności, w tym także wyjaśnianie innym, dlaczego tak, a nie inaczej. Ta pragmatyczna postawa po jakimś czasie rozciągnęła się także na inne obszary jej życia — i tak Marianna została legalistką.

Kiedy więc, porządkując mieszkanie po zmarłej matce, wśród pamiątek po bracie, który zmarł rok przed matką, znalazła kilkanaście sztuk amunicji, zaczęła się zastanawiać, co powinna z nimi zrobić. Tok jej myślenia był prosty: amunicja należy do wojska, więc należy ją wojsku zwrócić. Rzecz się działa w przygranicznym miasteczku, pomaszerowała zatem do jednostki, wierząc naiwnie, że odda, co znalazła, że pewnie ją wylegitymują, może coś zapiszą... Wyjaśniła wartownikowi, z czym przychodzi, wpuszczono ją na wartownię, znów przepytano, poproszono o zaczekanie, a następnie, po wykonaniu kilku telefonów, wezwano... policję. Przyjechali, zaprosili ją do radiowozu, wsiadła i pojechali do komisariatu. Przynajmniej nie będę musiała wracać na piechotę — pomyślała, bo komisariat był blisko domu matki.

Przesłuchał ją młody i rozgarnięty funkcjonariusz, na co dzień zajmujący się całkiem czymś innym. Odpowiadając na jego pytania, jasno i wyraźnie ujrzała absurd całej sytuacji. Amunicję przywiózł jej młodszy

brat, kiedy jeszcze był w szkole oficerskiej. Petardy – sztuk dwie – miały być prawdopodobnie użyte do głuszenia ryb w rzece, a więc do kłusownictwa. Nie wiadomo, jakie były plany wobec jedenastu sztuk naboju do kałasznikowa i jednego ślepaka. Mamusia pieczołowicie przechowywała wszystkie pamiątki związane z karierą ukochanego syna, jak na przykład pagony od munduru, gwiazdki, sznur galowy podoficerski, no i te naboje, razem sztuk czternaście; także wtedy, gdy syn został wysokiej rangi wojskowym. Mamusia, działaczka społeczna i ważna urzędniczka w mieście i w gminie.

A Marianna na nich doniosła.

Policjant wszystko skrzętnie zanotował, łącznie z opisem szafki, w szufladzie której w matczynej sypialni amunicję zdobytą drogą przestępstwa znalazła i grzecznie dostarczyła. A jak już wszystko spisał i dał Mariannie do podpisania, wtedy odezwał się zmęczonym głosem:

– Poza protokołem pani powiem, że trzeba to było zanieść do lasu i zakopać, bo teraz my musimy wdrożyć dochodzenie w sprawie kradzieży i nielegalnego posiadania amunicji...

Marianna wróciła do mieszkania matki już nie tak bardzo pewna, że postąpiła właściwie. Niedługo do

drzwi zapukał policjant — potrzebował dodatkowych dokumentów. No tak — pomyślała — musiał sprawdzić, czy ta nadgorliwa baba z innego miasta mówiła prawdę... Pokazała mu sypialnię, szafkę, szufladę; to, że likwiduje mieszkanie, widać było od progu. Pożyczyła mu akty zgonu matki i brata celem zrobienia kserokopii — oryginały odniósł niedługo.

Znajomy, któremu już w swoim mieście opowiedziała o przygodzie, nazwał ją kretynką, bo powinna była amunicję przekazać jemu.

— Kałacha byś sobie dokupił? — zapytała, nie kryjąc ironii.

Pismo z prokuratury otrzymała po kilku tygodniach — że zostaje wszczęte śledztwo w sprawie kradzieży i nielegalnego posiadania amunicji. Wtedy już tamto mieszkanie w małym miasteczku zlikwidowała. Po kilku miesiącach przyszła informacja o umorzeniu postępowania. Jako powód podano śmierć sprawców, którymi byli, ni mniej, ni więcej, jej matka i młodszy brat.

Po tym zdarzeniu siła wewnętrznego przekonania Marianny na temat korzyści płynących z przestrzegania prawa znacznie osłabła...

**EMILIA
'SLIMOK**

SEN

Coraz szybciej, prędzej. Dźwięk kótek pod moimi stopami jest głośniejszy, z każdym metrem, z każdym centymetrem. Zniszczony most nad środkiem rzeki. Znowu ten brak zdecydowania. Słyszę echo, które zgniata mnie w sobie — kiedyś cię to zgubi! W mojej głowie jest tłoczno i głośno. Boję się upadku. On dałby mi szanse na przetrwanie, ale ja jadę dalej. Słyszę krzyk. To mój krzyk. Nagle cisza. Plusk wody. Ciecz otula mnie jak koc.

Ciężar rolek ciągnie mnie na dno. Teraz panika i ten pisk — głośny i nieustępliwy.

Natychmiast otwieram oczy. Moje serce łomocze, ale ja jestem spokojna. Znowu ten sam sen — mruczę pod nosem. Jest 6:30 rano. Mój budzik powinien dzwonić za pół godziny. Chyba udziela mi się stres. Zamykam oczy i wmawiam sobie, że przeżyłam, że wpadłam

w puch albo w górę jesiennych liści. Nie. Nie. Nie! To nie działa. Wstaję z łóżka i idę do łazienki. Ładnie się ubierz. Zjedz śniadanie i idź do tego cholernego sądu. Masz trzymać nerwy na wodzy i się uśmiechać — mówię do swojego odbicia instrukcję dzisiejszego dnia.

Mam zaledwie 32 lata, a już jestem rozwódką. Jeszcze pół roku temu planowałam dziecko z teraz byłym mężem — Krzysztofem. Dzisiaj jest druga rozprawa. Na poprzedniej zobaczyłam go z kochanką. Przez naszą awanturę przed sąłą musieli przełożyć termin postępowania. Na wspomnienie tego incydentu śmieję się gorzko. Byłam taka głupia... Nie potrafiłam odejść po jego pierwszej zdradzie. A teraz tonę w tej rzece ze snu. Ha! Zamiast upaść i poukładać sobie życie wolałam tonąć.

Przychodzę dziesięć minut przed czasem, a ona, moja prawniczka — Martyna — już na mnie czeka przed wejściem do tego piekła. Czy ona nie ma co robić w domu tylko przychodzić o ponad dziesięć minut wcześniej do pracy?! Chyba kocha swoją robotę, albo nienawidzi swojej rodziny. Nawet nie wiem, czy ją ma. Wygląda na 40 lat, więc wypada już mieć rodzinę.

— Dzień dobry — mówi z wymuszonym uśmiechem.
— Mam nadzieję, że dzisiaj zakończymy pani małżeń-

stwo. — Patrzy na mnie sceptycznie i chyba oczekuje jakiejś reakcji z mojej strony, ale ja tylko stoję i parzę na nią, myśląc o całkowicie innych sprawach. Nic. Zero zainteresowania z mojej strony, więc mówi dalej:

— Proszę, by trzymała się pani z dala od męża i niepotrzebnie z nim nie rozmawiała. Wszyscy chcemy to szybko zakończyć. — No nie, mogła oszczędzić sobie tę kąśliwą uwagę. Niech ten dzień już się skończy.

Wchodzimy do budynku. W środku nic się nie zmieniło od poprzedniego razu. Wszystkie ściany pomalowane na blado pomarańczowy kolor. Obok każdej toalety śmierdzi kanalizacją. Fuj! Smród nie do zniesienia, ale jestem opanowana i wszystkie uwagi zachowuję dla siebie, nie jak ta czterdziestoletnia kobieta nieznająca zasad savoir-vivre'u. Jesteśmy na końcu korytarza. Przed salą widzę Krzysztofa bez tej zgrabnej i sztucznej blondyny! Całe szczęście.

— Cześć, Aneta — podaje mi rękę i ściska trochę za mocno.

— Cześć — odpowiadam szybko i odwracam wzrok.

Cisza. Nie lubię ciszy. Jest niezręcznie. Nienawidzę tego faceta, ale chcę zapobiec tej ciszy. Zapytać, co u niego w pracy, czy dalej ma fioła na punkcie dżemu truskawkowego, czy dalej wkłada pierwszą soczewkę

do prawego oka a potem do lewego. W mojej głowie coraz więcej pytań. Spoglądam na niego gotowa coś powiedzieć. Nawet wybełkotać, byle by nie było tej ci-szy, ale on już otwiera usta.

— Dobrze wyglądasz — delikatnie się uśmiecha, a obok jego oczu pojawiają się znane mi zmarszczki. Choć są żałosne, czuję nostalgię i sama chcę się uśmiechnąć. Nagle przypominają mi się słowa Marty-ny, więc zmuszam się do przewrócenia oczami. Po chwili jej ręka dotyka moich pleców i Martyna prowadzi mnie w stronę sali.

— Zaraz się zaczniesz — szepcze mi do ucha. Jej twarz przybiera poważny wyraz.

Odwracam się szybko w stronę Krzysztofa. Posy-łam mu suchy uśmiech i mówię bezgłośnie „dzięki” w odpowiedzi na komplement z jego strony.

Rozprawa szybko się kończy. Wychodzę z sali i udaję się do wyjścia. Gdy dotykam klamkę, słyszę jak ktoś woła moje imię. Odwracam się szybko i widzę Krzysztofa biegnącego do mnie.

— Może dasz się zaprosić na kawę? — pyta i spo-gląda na moje buty, które kiedyś od niego dostałam. Są wyjątkowo ładne.

— W sumie to nie mam nic do roboty — myślę na

głos. — Możemy iść, ale dzisiaj na przedmieściu grają nieprofesjonalne bandy rockowe i zamierzałam na nie iść. To coś w stylu koncertu, tylko, że jest dużo wykonawców i trwa to do 6:00 rano — tłumaczę mu.

— Świetny pomysł. Mamy już ponad 30 lat. Co nam po kawie. Przyjadę po ciebie o 21:00 — mówi i wiem, że nie warto się sprzeciwiać, bo Krzysztof lubi, gdy wszystko idzie po jego myśli.

Impreza szybko się rozkręca. Alkohol, tytoń, dragi. Krzysztof i ja świetnie czujemy się w swoim towarzystwie — jak za dawnych lat! Jeszcze raz alkohol i tytoń. W pewnym momencie urywa mi się film.

Budzę się rano z bólem głowy. Nie otwieram oczu. Czuję znajomy zapach perfum. Odruchowo uśmiecham się do siebie. Tylko coś tu nie gra... Nie miałam prześladowającego mnie snu, czyli coś, co się stało, musiało mieć jakiś duży sens w moim życiu. Ale nie otwieram oczu. Czekam.

**MAREK
PALUTKIEWICZ**

TOWARZYSTWO

KOLEJKOWE

Do lekarza wybieram się tylko w ostateczności. A że ostateczność rzadko dotyka mojego zdrowia, to na ostatniej wizycie byłem dobre kilkanaście lat temu.

Niestety, dziś rano, szukając domowych sposobów na pozbycie się kataru, włączyłem internetową przeglądarkę. „Przeziębienie” — wpisałem, gotując się na walkę z immunologicznym wrogiem i szybko dowiedziałem się, że mój katar może być symptomem kilkunastu tysięcy groźnych, a nawet śmiertelnych chorób. Uznałem więc, że dla świętego spokoju wybiorę się po poradę.

— Dzień dobry — przywitałem się, wchodząc do poczekalni w ośrodku zdrowia i usiadłem na ławce przed gabinetem, nim jeszcze zanikł cichy pomruk odpowiedzi.

Po chwili zauważyłem, że ludzie z kolejki podejrzliwie, wręcz z niepokojem zerkają w moją stronę. Nie

wiedziałem, o co może chodzić, więc po prostu spuściłem wzrok i czekałem, aż lekarz wyczyta moje nazwisko. Mijały jednak minuty, a ja wciąż czułem na sobie dziesiątki oczu.

— Przepraszam, ale o co chodzi? — powiedziałem gniewnie.

— Bo... bo pan nawet nie spytał... a przecież należy spytać, żeby wiedzieć... — odezwała się pani w różowym bereciku.

— Ale o co nie spytałem?

— No przecież: „kto ostatni w kolejce?” Jak bez tego będzie pan wiedział, po kim pan wchodzi?

— No właśnie, a pan jest ostatni, za tą panią — poinformowała mnie kolejna kobieta, jakby od samego momentu mojego wejścia czekała, by mi to powiedzieć.

— Ależ nie, drodzy państwo — zacząłem uprzejmie. — Ja rejestrowałem się wcześniej, telefonicznie, i przyszedłem na wyznaczoną godzinę wizyty...

Po zebranych przeszedł pomruk wzburzenia. Ktoś przeżegnał się szybko dwa razy, kilka osób pokręciło z niezadowoleniem głową i wywróciło oczami.

— Pan jest za tą panią — powtórzyła znów. — A w rejestracji, to one sobie mogą...

— Kolejka rzecz święta — dodała ta w różowym i tak mocno skinęta głową, że beret niemal spadł jej z głowy. — My tu od wczoraj czekamy. W namiotach spałyśmy — dokończyła i chwyciła sąsiadkę pod ramię.

Oho, pomyślałem, pojawiły się omamy słuchowe, dokładnie tak jak było napisane w Internecie. Jak nic – schizofrenia. I pomyśleć, że zaczęło się od niewinnego kataru...

— Przepraszam, w czym panie spały? — spytałem, upewniając się.

— W namiotach — powtórzyła. — Ja i pani Helenka w tym wojskowym koło wjazdu dla inwalidów. Pan Stasio z Henrykiem musieli rozbić się trochę dalej, na parkingu, a tak ciągnęło zimnem od asfaltu, że jeszcze im kolana skrzypią.

Zastygłem z wyrazem głupiego rozbawienia na twarzy, gdyż z jednej strony myślałem, że to żart, a z drugiej, dla nikogo innego nie wydało się to zabawne. Zgromadzeni patrzyli na mnie wręcz ze śmiertelną powagą.

— Szanowna pani — zacząłem powoli. — Ale ja się nie zapisywałem na biwak, tylko do lekarza. Jestem poważnie chory!

— No przecież zdrowy by tu nie siedział! — ode-

zwał się mężczyzna o lasce, który nie wiem czemu wyglądał mi na wspomnianego przed chwilą pana Stasia.

— Słusznie, Stasiu! — przytaknął mu drugi, co upewniło mnie w tych domysłach.

Zacisnąłem pięści, czując narastający gniew. Serce mi przyspieszyło, łomocząc się po klatce piersiowej. Katar — arytmia — śmierć, pomyślałem w duchu i wziętem głęboki oddech, by się uspokoić, ale też nie zamierzałem w tak prosty sposób dać się zastraszyć tej bandzie wyrwanych spod prawa kolejkowych terrorystów. W końcu nawet nad tym bezrozumnym tłumem ktoś musiał sprawować władzę. Poszedłem więc do rejestracji, by wyjaśnić sprawę. Dowiedziałem się, że kolejność przyjmowania ustalana jest przez lekarza, a skoro ten woła tylko „Następny!”, jak istotnie robił, to obowiązuje zwykła kolejka.

Totalna anarchia, pomyślałem i wróciłem pod gabinet. Tam wyjaśniono mi, że w czasie mojej absencji utraciłem swoją pozycję i znów przesunąłem się na ostatnie miejsce wśród oczekujących.

— To pan zwiedzasz, czy w kolejce czekasz? Turysta, psia jego mać! — znów zrugął mnie pan Stasiu, który był chyba kolejkowym mistrzem przytyków.

— Słusznie, Stasiu! — przytaknął drugi mężczyzna,

którego dla rozpoznania nazwałem Henrykiem oraz przykleiłem mu łatkę lizodupca.

Zacisnąłem zęby i rozejrzałem się po poczekalni. Byłem w kolejce pod koniec drugiej dziesiątki, więc zanosiło się na dobre dwie godziny czekania.

Dodatkowo, pod moją nieobecność, wszystkie miejsca siedzące zostały zajęte i pozostało mi stanie pod ścianą, a przecież moje śmiertelne przeziębienie z minuty na minutę pozbawiało mnie sił!

Już po kwadransie nogi mi zmiękły i bezsilny osunąłem się na posadzkę. Do oczu napłynęły mi łzy. Depresja i zwiotczenie mięśni. Kto by pomyślał, że to wszystko od niewinnego kataru?

Pogodzony z losem przesiedziałem tak blisko godzinę, zasłuchany w historie innych oczekujących; w eposy kamieni nerkowych, poematy wzdęć, sonety nadciśnień, popuszczeń i zatwardzeń. I Bóg jeden wie, które z tych dolegliwości również rozpoczęły się zwykłym przeziębieniem?

— Następny! — usłyszałem i wyrwałem się z zamyślenia. Rozejrzałem się po korytarzu. Przede mną było jeszcze przynajmniej dziesięć osób.

O nie, nie będę tu czekał kolejnej godziny! Już ja nagadam temu konowałowi, pomyślałem, podrywając

z lastrykowej podłogi zziębnięty tyłek. Katar — hemo-
roidy — śmierć, przeszło mi przez myśl, gdy chwyciłem
za klamkę.

— Halo, przecież teraz nie pana kolej! — oburzył
się szeryf w postaci pana Stasia.

— A właśnie, kurwa, że moja! — ryknąłem na nie-
go, pewien, że w ten prostacki sposób pokonam ten
szalony, kolejkowy, bezlitosny system.

I istotnie, ludzi zatkało. Nikt nie ruszył się z miej-
sca, nikt nie wydał z siebie nawet najcichszego dźwię-
ku. I kiedy byłem już pewien, że nic mnie nie zatrzyma,
coś świsnęło w powietrzu. Kątem oka zauważyłem
zmierzającą ku mnie drewnianą laską, po czym poczu-
łem silne uderzenie w głowę.

— Słusznie, Stasiu! — usłyszałem głos pana Hen-
ryka, zanim osunąłem się na posadzkę i ogarnęła mnie
ciemność.

Katar — pan Stasiu — śmierć.

DZIEWIĄTKA

Pierwsze, blade promienie świadomości wyrwały mnie ze snu. Zdarzało mi się to już wcześniej: alkohol przejmował kontrolę nad rozsądkiem, wieczór zamieniał się w poranek, a ja zasypiałem w bliżej sobie nieznanym miejscu. Nie byłem więc zdziwiony, że znów się to stało. Postanowiłem nie otwierać na razie oczu i chociaż spróbować przypomnieć sobie, gdzie się znajduję.

Wszystko zaczęło się od spotkania z Darkiem. Zrobiliśmy szybko pół litra jeszcze u niego w domu, a następnie ruszyliśmy na podbój okolicznych barów. Alkohol odmłodził nas i ogłupił o dobre dziesięć lat, więc tylko pokaźne zakola i zmarszczki odróżniały nas od porozsiewanych po barze studentów. Zaczęliśmy od kilku szotów, następnie wypiliśmy dwa piwa i dostaliśmy kosza od trzech, a może czterech dziewczyn. Nie dziwię im się.

Dziwię się sobie, że wciąż nie zmądrzałem na tyle, by nie próbować. Zmieniliśmy bar na jakąś kiepską dyskotekę. Powtórzyliśmy nasz układ alkoholowy i wtargnęliśmy na parkiet. Po takiej dozie napojów wysokowych było mi już zupełnie obojętne, co leciało, więc bawiłem się świetnie. I wtedy pojawiła się ona. Marlina? Marija? Bez różnicy, raczej nie było to jej prawdziwe imię. Ważne, że była to „dziewiątka” w samczej dziesięciostopniowej skali. Podeszła i zaczęła tańczyć, ocierając się o moje spodnie. Wymieniłem z Darkiem porozumiewawcze spojrzenia. Odpowiedział, pokazując dwa kciuki w górę i pomachał mi na pożegnanie. Wyszedłem z nowo poznaną dziewczyną z baru. Spytała, czy mam ochotę na coś ekstra na podtrzymanie tempa. Zgodziłem się, nie myśląc o konsekwencjach. Wysypała na dłoń jakiś proszek i podsunęła mi pod nos. Wciągnąłem cały. To ostatnia rzecz, jaką sobie przypominam.

A teraz pora otworzyć oczy. Co prawda nie zamierzam się z nikim wiązać, ale w końcu to „dziewiątka”, więc jeśli leży obok mnie, to pobudka nie będzie taka straszna.

Moje powieki unoszą się powoli. Ciemność. Całkowita ciemność. Błądzą oczami dokola, ale mam wrażenie, jakbym w ogóle ich nie otworzył. Pewnie zasłoniła

szczelnie rolety. Może jakaś latarnia świeciła jej prosto w okno? Trudno, poradzę sobie po omacku. I tak muszę wstać, bo strasznie chce mi się sikać.

Nagle dociera do mnie, jak cholernie mi niewygodnie. Co prawda leżę na plecach, wyprostowany jak struna, ale chyba nie obracałem się już od dłuższego czasu, bo gdy tylko próbuję drgnąć, mięśnie i stawy gwałtownie protestują. Udaje mi się ruszyć lewą stopą. Ta trafia w prawą i słyszę uderzenie butem o buta. Nawet się nie rozebrałem? To pewnie i z seksu nici. Zresztą, co za różnica, skoro i tak nie pamiętam? Coś mi jednak nie pasuje. Jeszcze raz uderzam nimi o siebie i zauważam, że nie są to te same buty, które miałem na sobie w barze. To raczej eleganckie lakierki do kompletu z garniturem. Co ja robiłem ostatniej nocy i jak to możliwe, że zupełnie nic nie pamiętam? Mój oddech nerwowo przyspiesza. Guzik od koszuli wpija mi się w szyję. Koszuli, którą zakładałem tylko od święta, i której nigdy nie zapinam na ostatni guzik właśnie dlatego, że kołnierzyk jest zbyt ciasny. A dziś, dodatkowo, dociągnąłem go krawatem tak mocno, jakbym nie musiał oddychać. Tak mocno, jakbym...

Mój oddech przechodzi w paniczne sapanie. Moja ręka unosi się z trudem i natychmiast natrafia na

drewnianą, płaską powierzchnię. Zaczynam macać na oślep. Ścianki po obu stronach ciała, nad głową, pod butami i pod warstwą jakiegoś materiału, na którym leżę. No i jeszcze jedna ścianka, zaraz przede mną. Nie, nie ścianka, a wieko.

Wieko trumny.

Spanikowany nie potrafię wydobyć z siebie głosu. Spokojnie, tylko spokojnie, powtarzam sobie w myślach. Jak to możliwe, że się tu znalazłem? Do głowy natychmiast przychodzi mi jeden z możliwych scenariuszy. Po zmieszaniu alkoholu z narkotykiem, dopalaczem lub czymkolwiek poczęstowała mnie „dziewiątka”, mój organizm dostał jakiegoś ataku, po którym wyłączyły się moje funkcje życiowe. Lekarz uznał mnie za martwego. Być może coś przeoczył, a być może istotnie tak było. Tymczasem ja, w jakiś cudowny, lub raczej koszmarny sposób, obudziłem się w trumnie po swoim pogrzebie. Ale czy nie powinno mi już zacząć brakować tlenu, skoro tkwiłem dwa, trzy metry pod ziemią?

Uderzam jeszcze raz w drewniane wieko i słyszę głuuche puknięcie. Po drugiej stronie jest pustka. Nie jestem więc pod ziemią, być może leżę wciąż w domu pogrzebowym! Uderzam kolejny raz, nieco mocniej.

Wiekko unosi się na niecały centymetr i cicho opada z powrotem. Wciąż mam za mało siły, by je otworzyć.

Słyszę głośnie, metaliczne trzaśnięcie. Dochodzi gdzieś z zewnątrz, ale wyraźnie z okolic stóp. Jakby coś się zamknęło.

— Gotowe, włączam — dobiega mnie przytłumiony męski głos i w tym samym momencie słyszę coś jak powiew wiatru. W mgnieniu oka orientuję się, że to nie wiatr, a płomień wgryzający się w trumnę. Znajduję się w komorze kremacyjnej, a ktoś właśnie wcisnął „start”!

— Nie... Nieee... — próbuję krzyczeć, lecz z mojego gardła wydobywają się tylko ciche pomruki. Zaczynam turlać się po trumnie w lewo i w prawo, mając nadzieję, że ktoś spojrzy przez lufcik i zauważy, że moje zwłoki są nad wyraz żywe. Robię gwałtowny obrót w lewo, a trumna ze mną w środku przesuwa się o kilka centymetrów. Drewniana ścianka, na której leżę, pęka, a do środka wślizgują się pierwsze piekielne płomienie i gryzą mnie w plecy. Wrzeszczę, tym razem głośno, i już nie ze strachu, a z bólu.

Coś zgrzytnęło, coś trzasnęło metalicznie na zewnątrz, choć ledwo to wychwytyuję.

— Wyciągaj, wyciągaj to, do cholery! — słyszę poprzez mój krzyk, swąd ciała i palącej się trumny.

Czuję, jak wyjeżdżam z komory, rozgrzane do czerwoności zawiasy otwierają się, a mnie zalewa fala białego światła.

— O mój Boże, o mój Boże... — słyszę głos mężczyzny, który przed momentem prawie spalił mnie żywcem.

BAJKA NIE CAŁKIEM

DLA DZIECI

Król Rupert, czekając podczas postoju, aż jego doradca, Tezeusz, upoluje w lesie coś do jedzenia, postanowił zaskoczyć nieco żołądek i poczęstować go czymś bezalkoholowym. Co byłoby sporą odmianą po kilku wykończonych dziś butelkach wina. Ruszył więc przez wysokie trawy i ostre krzaki jeżyn, szedł i szedł, aż w końcu natrafił na strumyk. Przyklęknął na kolano i nachylił twarz ku wodzie. Złożył dłonie, by nabrać jak najwięcej, zanurzył je, wyjął i... zamarł.

— Całus albo psikus — powiedziała siedząca w jego dłoniach żaba z koroną na głowie, uśmiechając się filuternie. O ile żaba potrafiłaby się filuternie uśmiechać.

Ta potrafiła.

Król mrugnął. Potem drugi raz i trzeci, a następnie na zmianę, raz lewym, raz prawym okiem.

— Czy coś z jaśnie panem nie tak? Czy to jakiś atak albo tik nerwowy? – zapytała.

— Nie, ja tylko... staram się, żebyś... zniknęła — odpowiedział. Zamknął oczy, zacisnął, policzył do dziesięciu, otworzył i odetchnął z ulgą.

W dłoniach miał wodę. Wodę i tylko wodę.

— Już myślałem, że zwariowałem — mruknął do siebie i podniósł do ust dłoń.

— Mimo wszystko nie piłabym tego — odezwało się coś na jego głowie.

Król podskoczył jak oparzony, zrzucił z siebie koronę i zaczął na zmianę czochrać włosy i okładać je pięściami.

— Złaż ze mnie! Złaż, ty mała cholero...

— Jak śmiesz tak się odzywać do królewny! — dobiegło go z trawy.

Styszając to, zamarł na moment, po czym spojrzał w miejsce, skąd dochodził głos.

Żaba siedziała z założonymi na siebie przednimi łapkami, jakby obrażona.

— Do królewny? — zaciekawił się król.

— Tak, do królewny! Jestem królowną zaklętą w żabę! — odpowiedziała, wskazując koronę na swej głowie.

- Królowną czego?
- Królowną królestwa, durniu!
- Aha — zastanowił się. — I tam wszyscy tacy płazowaci?
- A mówiłam już, że durny jesteś?
- No coś królowna wspomniała...
- Dobra tam — uznała w końcu. — Durny czy nie durny, całuj!
- Słucham?!
- Całuj mnie, a przemienię się w piękną królownę! Król spojrział na nią z ukosa.
- Gdzieś nie mam przekonania. Podstęp czuję. Wiedziałem psa, co jak żabę liznął, to potem mu piana z pyska do wieczora leciała.
- Nie to nie — uznała obrażona. — Inny królewicz mnie znajdzie i za żonę weźmie, a ja będę mu wierną i uległą.
- Z takim charakterem? Już to widzę — mruknął pod nosem, schylił się i podniósł żabkę.
- To co, jednak całus? — zapytała.
- Zastanowię się. — Schował ją do kieszonki koszuli, tak by mógł swobodnie z nią rozmawiać wracając do obozowiska. — A jak ci na imię, królowno?
- Mariola — odparła.

— Pffff...

— Co „pfff”? — obruszyła się.

— No słabe imię dla królewny.

— Słabe?! A tobie jak?

— Rupert.

— Pfff... wcale nie lepiej — stwierdziła i założyła łapki za siebie.

Można więc powiedzieć, że rozmowa im się nie kleiła.

Po jakimś czasie wrócili do obozu, zaznaczonego trzema pustymi i jedną pełną butelką wina. Tezeusza jeszcze nie było, a dobrze, gdyby przyjrzał się żabce. Raz, że może poradziłby, całować czy nie całować, a dwa, że nie wmawiałby więcej królowi, że ma zwidy po alkoholu.

Rupert położył żabkę na trawie.

— No to, Mariola, skoro masz być moją wybranką — zaczął, sięgając po butelkę. — To pobawimy się w małżeństwo. Ja się napiję, a ty mi nie przeszkadzaj — stwierdził, po czym przykrył ją czapką Tezeusza.

Spod materiału słyszał jeszcze oburzone kumkanie królewny, ale na szczęście czapka całkiem dobrze wygłuszała.

Królewna zaklęta w żabę, czy to byłaby dobra matka dla moich dzieci? — zaczął się zastanawiać.

I jak zawsze przy myśleniu poczuł się znudzony i zasnął.

Obudził go zapach dymu z ogniska. Wiedziony doświadczeniem, od razu zerwał się na równe nogi.

Doświadczenie jednak spóźniło się o kilkanaście minut.

— Tezeuszu! — zawył Rupert, z przerażeniem wpatrując się w swego doradcę.

— Czo, panie? — bąknął niewyraźnie, przeżuając kawałek żaby, której tułów wisiął nabity na patyk.

— Czy to jest... czy to jest żaba spod czapki?

— No... tak... — potwierdził. — To jaśnie pan ją tam wsadził? Myślałem, że sama się schowała przed stońcem. Ale złapałem jeszcze kilka, dla króla też starczy.

Król potarł mocno powieki i jeszcze raz spojrzał na nabitą żabę.

— Gdzieś nie mam ochoty... A ta żaba... Nie zauważyłeś w niej przypadkiem czegoś dziwnego?

— Dziwnego?

— No, dziwnego. Na przykład, że nosi koronę albo gada ludzkim głosem, mówi „Mam na imię Mariola” i inne takie... Nic z tych rzeczy?

Doradca spojrzał na niego niepewnie. Potem na patyk, a potem znów na niego.

Król wybuchnął długim, słabo udawanym śmiechem i poklepał towarzysza po plecach.

— Żartowałem, Tezeuszu! Dowcip, rozumiesz? Że niby to była, wiesz, królewna zaklęta w żabę! Jak w bajkach! Taki żart!

— Ach... ach tak... zabawne, królu... całkiem śmieszne. — Spojrzał niepewnie na swój patyk.

— Ale ta żaba nie miała żadnej korony, prawda? — dopytywał król.

— Nie miała.

— Więc nie mamy się czym przejmować. W takim razie skończ jeść i idziemy dalej.

Tezeusz spojrział na opróżnione butelki po winie i przeniósł karcący wzrok na króla.

— Tak, wiem — burknął. — Ani tyczka więcej.

— Cieszę się, że się rozumiemy.

— Jesteś gorszy od królewny zaklętej w żabę — mruknął pod nosem.

— Słucham?

— Nic. Jedz. Tylko się nie zakrztuś, bo charakterek to miała podły.

CO ZNOSI PSYCHIKA

RZEŹBIARZA

— Czy ja wiem? — mruknął król Rupert, zadzierając głowę. — Nie jestem przekonany. Nie o taki efekt mi chodziło.

— A o jaki? — zapytał Tezeusz, piastujący rolę jego głównego doradcy.

— No, o taki... taki „efekt WOW!”

— Ach tak... Przyznam, że niezbyt rozumiem. Moim zdaniem pomnik wygląda bardzo realistycznie — podsumował doradca.

— Realistycznie? A czy ja mam taki obwisły brzuch? Takie krzywe nogi? Taki wielki podbródek?

— Podbródki — poprawił Tezeusz, a król spiorunował go wzrokiem.

— Nie pomagasz sobie. Ani tym bardziej temu, psia jego mać, artyście.

— Królu, Michał Diabeł jest prawdziwym mistrzem

w swoim fachu i bezbłędnie odwzorowuje rzeczywistość.

— No... — zaczął bez przekonania król. — To trzeba tę jego rzeczywistość nieco upiększyć, bo jutro wielkie odsłonięcie, a na piedestale zamiast króla mamy nieurodzonego grubasa. Ślij po tego artystę i niech od razu przyjdzie z tym swoim dłutkiem.

Doradca skłonił się i odszedł, pozostawiając króla sam na sam z liczącym blisko sześć metrów pomnikiem, przedstawiającym jego samego w pozycji siedzącej, zapatrzonego gdzieś w dal, z jedną ręką uniesioną w górę, jakby właśnie mówił coś bardzo ważnego. Dolną część stanowił zdobiony piedestał z pięknie wykaligrafowanymi tytułami i godnością panującego króla.

Władca przeleciał całość jeszcze raz wzrokiem i pokręcił z niezadowoleniem głową.

Po chwili doradca wrócił z niskim mężczyzną o ciemnym, bujnym zaroście i włosach zebranych w kok.

— Pan wzywał, królu? — odezwał się niepewnie artysta.

— Wzywał, wzywał. Tyś to wykonał? — zapytał król, wskazując na rzeźbę.

— Jam, panie.

— Bardzo ładnie. Wszystko super, jednak... chciałbym nanieść kilka małych poprawek.

— Poprawek? — Rzeźbiarzowi zadrgały obandażowane od pracy dłonie.

— Drobnostki, można by powiedzieć. Tak więc spójrz na rzeźbę. Lewą rękę uniósłbym nieco wyżej, o w ten sposób — pokazał na sobie.

— Kiedy, panie... — usiłował wtrącić się Michał Diabeł, jednak król kontynuował.

— Nadałbym też takie ostrzejsze, mądrzejsze rysy twarzy. Tak żebym wyglądał na zamyślonego nad losem kraju. I wydaje mi się, że gdybym stał, a nie siedział, to sprawiałbym wrażenie bardziej władczego.

— Słucham? Ale przecież...

— Zgadza się, i tak wszyscy wiedzą, że jestem władczy — przerwał mu znów. — Ale dzięki tej drobnej poprawce pomnik byłby o wiele wyższy. I jeszcze ten podpis na piedestale „Rupert Doskonały, Dwudziesty Trzeci Król Krainy Rólu... No coś mi tu nie pasuje...

— O nie! O nie, nie, nie! Tutaj na pewno wszystko jest w porządku! — nie wytrzymał Michał Diabeł. — Przepisałem z doręzonego mi listu z królewską pieczęcią, słowo w słowo, litera w literę, nie ma tu mowy o pomyłce!

— Ależ oczywiście, napis się zgadza — przyznał król. — Tylko przesunąłbym go nieco wyżej. I może inną czcionką?

— Chyba innym „krojem”, panie, „czcionką” to niepoprawnie — wtrącił się doradca.

Król znów obrzucił go gniewnym spojrzeniem, po czym przeniósł wzrok na Michała Diabła i zapytał:

— To jak, zdąży pan z poprawkami na jutro?

Rzeźbiarz wybałuszył oczy i jeszcze raz spojrzał na efekt swej kilkuletniej pracy.

— Królu, przecież to jest lita skała! Nie mogę tak po prostu ruszyć jej ręką, nogą czy... nie wiem... wciągnąć brzucha!

— Aj, właśnie, dobrze żeś przypomniał o brzuchu! Trzeba by go zmniejszyć. Z tej perspektywy, jak stoimy tu na dole, przestania moje szlachetne oblicze. Ale skoro mówisz, że nie możesz go wciągnąć, to może by tak ściągnąć go pasem?

— Nie, nie i jeszcze raz nie! — wrzasnął, poczerwieniły na twarzy. — Przecież to niewykonalne! Musiałbym zacząć wszystko od początku, z nowej bryły! Nie da się nanieść tego typu poprawek na zakończony projekt! To praca od zera!

Król Rupert zmarszczył brwi, chwycił rzeźbiarza za koszulę i przyciągnął do siebie.

— Skoro nie chce ci się pracować nad pomnikiem swojego króla — zaczął spokojnie. — To powiem ci zaraz takie słowo, że od razu ci się zachce. Słuchaj mnie uważnie: deadline!

Z twarzy Michała Diabła w jednej chwili odpłynęła krew.

— A to akurat nawet nie po naszymu — wtrącił się znów Tezeusz.

Władca zmełł przekleństwo w ustach.

— Dobrze, Tezeuszu, to jak ten deadline przetłumaczyć?

— Dostownie to „linia śmierci”.

— Linia śmierci — powtórzył z namysłem król. — Jak linia, to i lina mogłaby być. No to, rzeźbiarzu, jak nie zdążysz wykonać poprawek, to szubienicę zaraz obok postawimy i zawiśniesz na deadline, co by lud miał na co popatrzeć, skoro i tak się zbierze. Zrozumiano?

— T-tak, p-panie — wydukał Michał Diabeł, a król w końcu go puścił.

— No to, tak jak mówiłem: ręka wyżej, postawa wyprostowana, mimika sroga, brzuch wciągnięty i zmiana czcionki.

— No przecież kroju... — jęknął doradca i natychmiast zamilkł, widząc wzrok swego pana.

Król westchnął i poprawił koronę.

— Chodź, Tezeuszu, zmęczyłem się już tymi obowiązkami — mruknął i ruszyli w drogę powrotną do zamku, zostawiając rzeźbiarza sam na sam z pomnikiem. Gdy odchodzili, odprowadzał ich już miarowy stukot dłuta uderzanego młotkiem. — I zapamiętaj sobie — kontynuował król. — Nie wena, nie natchnienie, tylko terminy. Nic tak nie wpływa na twórcę jak świadomość końca.

— Deadline — powtórzył z uznaniem doradca.

— Dokładnie tak, Tezeuszu. Kiedyś, gdy jeszcze pracowałem w Korpogradzie... a zresztą, chodźmy, opowiem ci przy kawie. Właśnie... czy mamy może mleko sojowe?

— Czekamy na dostawę, panie. W przyszłym tygodniu będzie transport z Mordoru.

**PAULINA
WYSOCKA-MORAWIEC**

CMENTARNY DOŁEK

Helena Maciejówna zmarła przed niespełną rokiem. Nie zamierzała jednak ulec jasnemu światłu, które uparcie podążało za nią, dokądkolwiek by nie poszła.

Helena cały swój majątek powierzyła siostrzeńcowi, jako że własnych dzieci nie posiadała. Porządny był to chłopak, niestety żył pod wielkim naciskiem pantofla swej żony, której to Helena nie do końca ufała. Postanowiła zatem zostać jeszcze chwilę na tym ziemskim padole i poobserwować świeżo upieczonych spadkobierców.

Zbliżał się listopad, a wraz z nim Wszystkich Świętych. Helena z nieskrywanym zadowoleniem obserwowała, jak nad jej szczątkami powstaje piękny, marmurowy pomnik. Pękała z dumy, chłonąc jak gąbka, zazdrosne spojrzenia duchów z sąsiednich mogił.

Gdyby tylko posiadała odrobinę cielesności, pogłaskałaby siostrzeńca po jego bujnej czuprynie.

— Maryśka może już za dużo tych zniczy, co? — Zmarszczył się owy spadkobierca, obserwując kolejne symboliczne światełko rozbłyaskujące w dłoniach jego żony.

— Jeszcze z dwa i będzie akurat. Już zapomniałeś, że twoja cioteczka lubiła wszystko na pokaz robić? — powiedziała kobieta z lekkim przekąsem. — Poskąpimy jej zniczy, to nas po nocach straszyć będzie. Dziękuję ci bardzo. — Przeżegnała się na samą myśl o tym i delikatnie postawiła szklany, bogato zdobiony znicz na nagrobku.

— Przesadzasz — mruknął mężczyzna, ale już więcej nie protestował.

Helena przyglądała się całej scenie z nieskrywanym zadowoleniem. Cóż, widać żona siostrzeńca nie była wcale taka zła, a już na pewno głupia.

Od tego dnia jej dusza już całkiem się uspokoiła i była w zupełności gotowa, by podążyć w stronę ponaglającego ją światła. Mimo to czekała. Postanowiła, że odejdzie w dzień Zadzuszny. Głęboko bowiem wierzyła w symbolikę, a już na pewno nie zamierzała przegapić okazji do poobserwowania i poobmawiania byłych ko-

leżanek, które we Wszystkich Świętych miały pojawić się na cmentarzach, by błyszczeć nowymi futrami, butami i torebkami. Poza tym, ostatni raz chciała podsłuchać kilka ciekawych ploteczek. Tak w ramach pożegnania z ziemskim światem. Liczyła bowiem na miejsce w niebie, a jak wszystkim wiadomo tam plotkować nie wypada. W każdym razie Helena nawet nie podejrzewała, jak bardzo będzie zadowolona z podjętej decyzji.

Nastąpiła ostatnia noc października. Obok pięknie przystrojonego pomnika Heleny, przemknęła zakapturzona postać. Nocny, cmentarny gość dzierżył w dłoni dosyć dużą płócienną torbę, na oko wypełnioną do połowy. Duch kobiety już z daleka zwęszył sensację i postanowił podążyć za tajemniczą postacią.

Szybko okazało się, że jest to złodziej, aczkolwiek nietypowy w swym postępowaniu. Krążył wśród pięknie oświetlonych grobów, przystawał przy co bogatszych i wyjmował z wiązanek po kilka sztuk sztucznego kwiecia.

Helena uważała się za osobę wysokiej moralności, dlatego nie zamierzała godzić się na podobny proceder. Zaczęła głowić się, co też zrobić, by powstrzymać złodziejską rękę. Niestety, jako istota niecielesna miała ograniczone możliwości.

Sytuacja nieco się zmieniła, gdy zakapturzona postać dobrała się do pięknej wiązanki, która leżąc na pomniku starszej kobiety, czekała na pierwsze zazdrosne spojrzenia dnia. Widząc, jak dostojny bukiet zostaje ogołocoony do połowy, aż zagotowała się w środku. W akcie oburzenia krzyknęła donośnie, tupnęła nogą ze złości i nie zastanawiając się wiele, zdzieliła podłego złodzieja po głowie.

Nie wiadomo, czy to przez silne emocje, siłę woli, czy słuszność postępowania, ale cios Heleny zyskał jako taką moc. Zakapturzona postać poderwała się z przygarbionej pozycji do pionu. Kaptur zsunął się jej z głowy i oczom oburzonego ducha ukazała się dobrze znana twarz. Właścicielka oblicza rozglądała się dezorientowana, zastanawiając się, co też przed chwilą ją spotkało. Helena w tym czasie wychodziła z szoku. Okazało się, że złodziejem była handlarka stroikami nagrobnymi, Elka. Wyglądało na to, że konkurencyjne ceny zawdzięczała licznym kradzieżom, a większość bukietów, o ile nie wszystkie, tworzyła z kradzionych półproduktów.

Szok minął, a wściekłość wróciła. Duch kobiety ponownie zakrzyknął, dając upust świętemu oburzeniu. Wyglądało na to, że do uszu Elki część tego dźwię-

ku dotarła, ponieważ szeroko otworzyła oczy, pisnęła przerażona i czym prędzej pognąła przed siebie, lawirując pomiędzy nagrobkami. Niespodziewanie straciła grunt pod nogami i znalazła się trzy metry poniżej poziomu okolicznego trawnika.

Helena zobaczywszy złodziejkę w przyszłym grobie świętej pamięci Stanisława Hutki, wybuchnęła gromkim śmiechem, który zmroził krew w żyłach biednej Elki i o mały włos nie przyprawił jej o zawal. Duch starszej kobiety, nie opuścił nieuczciwej kwia-ciarki aż do rana.

Elkę znaleziono o świcie. Była przemarznięta, przestraszona i zawstydzona przytąpaniem na gorącym uczynku. Na domiar złego wieść o jej niechlubnym procederze, rozniosła się po okolicy jeszcze tego samego dnia i nikt nie chciał kupić u niej grobowej wiązanki. Nie pozostało jej zatem nic innego, jak uciec z rodzinnej miejscowości i przenieść się jak najdalej.

Duch Heleny był bardzo dumny z siebie. Chwaliła się wszystkim zjawom, które chciały jej słuchać, jak to bohatersko powstrzymała i ukarała hienę cmentarną. Pod koniec Dnia Zadusznego, ku uciechu innych mieszkańców cmentarnego przybytku, w końcu opuściła ziemski padół, podążwszy w ślad za jasnym światłem.

SKRZYPCE

Zrodziłem się w małym warsztacie. Bym powstał wystarczyło odpowiednie drewno i para zręcznych rąk. Z tamtego okresu pamiętam niewiele. Wśród wspomnień najwyraźniejszy jest zapach. Powietrze przesycone aromatem drewna, lakieru i kurzu. Był też dotyk. Tak, pamiętam dotyk i ciepło człowieka, które wtedy pokochałem.

Pierwsze dźwięki wydałem w dłoniach lutnika. Opierał mnie na ramieniu, przytulał do mnie podbródek i grał. Grał wiele razy, zanim uznał, że wydobywane ze mnie dźwięki go satysfakcjonują. Później odłożył mnie na półkę. Wiele tygodni stałem obok innych instrumentów. Przez cienką szybę obserwowałem czekający na mnie świat. Ludzie przechodzili ulicą. Co jakiś czas, ktoś się zatrzymał i patrzył. Problem w tym, że nikt na mnie nie grał. A jaki sens mają skrzypce, na których nikt nie gra?

Pewnego dnia zdjęto mnie z wystawy. Trafiłem w ręce wysokiego, młodego mężczyzny. Pamiętam bardzo dokładnie, że od razu przypadliśmy sobie do gustu, a pierwsza zagrana przez nas melodia była wręcz doskonała.

Mężczyzna, który mnie kupił miał na imię Henryk i szybko okazał się moim najlepszym przyjacielem. Od świtu ciężko pracował. Dla mnie miał czas dopiero wieczorami. Wtedy właśnie wyciągał mnie z futerału i wspólnie graliśmy całej jego rodzinie. W lecie bywało tak, że zabierał mnie na podwórze i siadał pod rodną jabłonką. Wtedy nasze melodie pływały dalej, prowadzone przez swobodny wiatr. To był wspaniały czas, pełen spokoju i niezapomnianych nut.

Po kilku latach przyszło nam się przenieść. Żona Henryka nie była zadowolona, ale on uparcie powtarzał, że nie przystoi zostawiać ojcowizny na pastwę losu. Choć był stanowczy, znałem go na tyle długo, by wiedzieć, że jego również ten pomysł nie radował. Mnie było wszystko jedno, gdzie mieliśmy grać. Ważne było, by robić to razem.

Henryk miał piątkę dzieci, ale z całej tej gromadki tylko najmłodszy syn zapalał miłością do muzyki. Niestety nie pokochał mojego brzmienia na tyle mocno, by

opanować trudną sztukę współpracy ze skrzypcami. Wolał akordeon i moją kuzynkę gitarę. Nie miałem żalu. Szybko okazało się, że tworzenie muzyki w korelacji z innym instrumentem potrafi być bardzo ciekawe i odświeżające.

Dopiero jeden z wnuków Henryka, okazał się zainteresowany takim skromnym instrumentem, jak ja. Od najmłodszych lat spoglądał na nasz duet, niczym zaczarowany. Wydawało się, że chłonał muzykę każdą cząstką siebie.

Początki naszej współpracy były trudne. Całe szczęście chłopak miał naturalny talent i szybko się uczył. Po niedługim czasie znacznie ograniczyliśmy wspólne zgrzyty i niemiłosierne fałszerstwa.

Prócz mnie, chłopak upodobał sobie również keyboard, a w czasie szkolnym grywał także na cymbałach. Wraz z Henrykiem często bawiliśmy się w odtwarzanie melodii. On odgrywał krótki fragment na klawiszach, a ja wraz z jego wnuczką mieliśmy powtórzyć zadany zestaw dźwięków. To były jedne z najszcześniejszych dni w moim życiu.

Niestety chłopak podrośł i porzucił muzykę na rzecz sportu i rówieśników. Nie rozumiałem go zupełnie, ale cóż mogłem zrobić? Zaakceptowałem.

Z Henrykiem ponownie byliśmy sami, ale nie było tak, jak kiedyś. Coś dziwnego zaczynało dziać się z jego dłońmi. Koncertowaliśmy rzadziej, a dźwięki, które tworzyliśmy, straciły na uroku. Coraz więcej czasu spędzałem w futerale, aż wylądowałem w ciemnym, dusznym pomieszczeniu.

Nie wiem, ile czasu minęło zanim sobie o mnie przypomniano. Chyba dużo, bo wnuczek mojego przyjaciela był już mężczyzną, a sam Henryk starcem, ciężko oddychającym pod stertą pościeli. Tamtego dnia zagrałem z jego wnukiem. To był ostatni raz, gdy widziałem przyjaciela.

Ponownie w futerale, ponownie zapomniany i bezużyteczny. Czekałem długo wśród kurzu i ciemności.

Gdy wróciłem do świata, ten okazał się zupełnie inny. Nie było ani Henryka, ani jego żony. Był tylko syn, wnuk i mała dziewczynka. Jej oczy iskrzyły się radośnie, gdy mi się przyglądała. Dotknęła mnie swoimi delikatnymi paluszkami i z nadzieją spojrzała na swojego opiekuna.

— Nauczysz mnie, tatusiu?

Chyba tylko człowiek pozbawiony duszy byłby w stanie jej odmówić, a wnuk Henryka duszę miał i to piękną. Wiem, bo kiedyś słyszałem ją za każdym ra-

zem, gdy przykładał mnie do swojego ramienia, przylegał podbródkiem i zwinnie przesuwiał smyczkiem po moich strunach.

**SŁAWOMIR
DOMAŃSKI**

OSTATNIA FAZA

— Wszyscy już sobie poszli. Prawie.

— Daj.

— Jest tylko nierozrobiony spirytus — odpartem.

Wyciągnął w półmroku oczekującą dłoń. Długo szukałem wśród pustych butelek, zanim poczułem ciężar szkła wypełnionego alkoholem. Podąłem flaszkę, a on pił chwilę, za moment butelka ukraińskiego spirytusu zwisała mu pomiędzy palcami, opierając się dnem o podłogę. Podeszedłem. Chciałem postawić ją na stole, chciałem już iść. Był środek nocy. Był listopad — urodziny Kuby. Miałem daleką drogę do domu. Dziesięć kilometrów na piechotę w smutną, zimną noc. W pokoju w akademiku zostali tylko kolega z WT, z którym nawet nie byłem po imieniu i Marianek, który mnie nienawidził. Obaj spali. Złapałem za szkło, jednak czujna ręka Marianka nie pozwoliła mi podnieść butelki.

— Najpierw on — rozkazał bełkotliwym głosem wskazując na kolegę z WT, który po raz kolejny niebezpiecznie pochylił się do przodu. Zacząłem potrząsać jego bezwładnym ciałem, aż nieprzytomnie podniósł na mnie wzrok.

— Pij. Marianek kazał — powiedziałem cicho i podsunąłem mu flaszkę przed rozmyte oblicze. Złapał ją od niechcenia, pociągnął łyk i z powrotem zapadł w letarg.

— Teraz ty — głos jego dobiegał jakby z innego świata.

Postusznie podniosłem alkohol do ust, zamknąłem oczy i piłem bez opamiętania, nie czując jak paląca ciecz spływa do żołądka. Gdy nic już nie zostało, upuściłem butelkę, która potoczyła się po nierównej podłodze i czekałem nieruchomo, aż alkoholiczna chemia przeniknie do mojej krwi. Dziwiło mnie, że na chwilę otrzeźwiałem. Nie czułem mdłości, a przestrzeń pokoju wpadła w czternasty wymiar, wszystko dookoła stawało się bardziej konkretne i przezroczyście zarazem. Próbowąłem dotykać sprzętów, ale one oddalały się za każdym moim wyciągnięciem ręki i wracały na miejsce, gdy ją cofnąłem. Zobaczyłem Marianka jak lewituje przykryty kocem, jakby był trupem, zderzał się pod sufitem z kolegą z WT, któremu

z ust bez przerwy równym strumieniem ciekła srebrzysta wódka. Powoli wypełniała pokój. Po chwili brodziłem w alkoholu. Powoli przesuwalem się w stronę korytarza. Musiałem zacząć płynąć. Naprzeciw mnie zamajaczyły jakieś postacie. Wydawało mi się, że znam je wszystkie. Był tam Marcellus, który trzymał się za ręce z Quentinem Tarantino, był tam Kuba ze swoją narzeczoną – oboje przebrani za młodą parę, uśmiechnięci do siebie i zadowoleni, tak jak w piosence zespołu 2+1, no i był J.J. w towarzystwie tabunu nastolatek, tych rozkwitających osiemnastek, może nawet siedemnastek, płynął Firer z Alenem i wyglądali jak członkowie klubu Anonimowych Absyntentów, Krawcowa miał ogromne nożyczki, którymi ciachał w powietrzu, goniąc Ryszarda Ksalisza, a ten uciekał przed nim, ale uciec nie potrafił; moja mama na szyi miała przewieszony różaniec, a zamiast broszki na jej piersi znajdował się znaczek miłośników „Radia Maryja” z wizerunkiem uśmiechniętego ojca Rydzyka, tata lewitował na bosaka w białej koszuli i w czerwonym krawacie Służby Polsce, niósł na barana generała Jaruzelskiego w okularach przeciwsłonecznych i był dzięki tym okularom podobny Jaruzelski do latynoamerykańskich dyktatorów i nie

wiedzieć czemu, Jaruzelski płakał, obok ojca było dwóch ojców narodu splecionych w przyjacielskim uścisku — pan Wałęsa i pan Kaczyński obejmowali się czule, niczym para gejów, za nimi z dystynkcją postępowaty panie Danuta i Maria, za nimi chwiejnym krokiem szedł Kwaśniewski, którego podtrzymywała Jolanta w czarnej garsonce — płynęli oni wszyscy w moją stronę, nie mogąc zbliżyć się nawet o centymetr, było ich coraz więcej, tak samo jak coraz więcej było wódki, która przekroczyła już poziom lamperii i wlewała mi się do ust, oczu i uszu, zalewała mi zmysły, a ja nie byłem jej w stanie powstrzymać, chciałem się unieść w powietrze i dryfować ponad powierzchnią razem z tłumem postaci, które znałem. I był tam wytrzeźwiał Olo w biało-czarnym habicie od dominikanów i ten habit rozwiewał mu się w nieskończenie długi płaszcz, po którym deptali nieskończeni krewni i znajomi, ludzie, o których potykałem się w życiu mniej lub bardziej przypadkowo, były tam setki nagich kobiet, które na przestrzeni długich lat wyobrażałem sobie nim położyłem się spać, tej wódki było w korytarzu akademika na dziewiątym coraz więcej, a wśród ludzi frunęły pootwierane woluminy dzieł, a z nich płynęły nazwiska autorów, myśli, sceny, pejzaże, boha-

terowie, Emanuel i Fryderyk, Bułhakow w towarzystwie Mistrza i Małgorzaty, Witold i Bruno, święty Franciszek z Asyżu, pan Józef K., Borges, Cortazar, Fuentes i Márquez w scenerii miasteczka Macondo, był też Karol Wojtyła, śpiewający popularną pieśń oazową i portargane plakaty ze starych filmów, Holoubek z „Pętli” — nabombany jak Messerschmitt, „Stracony weekend” Wildera, „Pod wulkanem” — też o wódce, Pan Hantia i Hrabal ze „Zbyt głośnej samotności”, „Baza ludzi umarłych” i „Księżę nocy” — czyli dwóch Marków, od których nauczyłem się pić — nieprzebrane tłumy jak na pielgrzymce, na pielgrzymce przemienionej w karnawałowy korowód, podczas której topiłem się w morzu wódki, która łała się bezustannie z paszczy kolegi z WT, rozwarłej potwornie, jakby nie miała zawiasów, a mnie już została tylko mała szczelina między tą wódą a sufitem, by móc jeszcze złapać ostatnie hausty powietrza... I — gdy prawie nie miałem już czym oddychać — ujrzałem Ciebie. Jaśniałaś spowita aureolą, nikłaś pod warstwami ciężkich, bogato zdobionych drogocennymi kamieniami szat, na twoich kolanach spoczywała Ona, spała cichutko i bił od niej blask tak silny, że nie mogłem utonąć. Wyglądałaś jak Madonna z dzieciątkiem na barokowych obrazach, pełnych

chwały i ornamentów, płynęłaś w moją stronę nieruchoma i smutna — byłem pewien, że się zbliżasz. Za Tobą sunął ten potężny orszak moich snów, win i marzeń, a od dziecka, mojego dziecka, ciągnęła się struga światła, która nie pozwalała mi zniknąć w odmętach, płynęłaś w moją stronę i nagle dotarło do mnie, że stoję po drugiej stronie poręczy na balkonie w akademiku. Pod moimi stopami czerniła się przepaść.

— Tak. — Głos, który mi odpowiedział, był sfilcowany papierosami i gorzałą.

— A nie inaczej — dodał głos drugi, trochę podobny, ale znacznie wyższy i bardziej egzaltowany w tonie.

— Nie modliłem się do was panowie — odparłem.

— Zawsze! Kochanieńki, zawsze! — odrzekli chórem.

— Co zawsze?

— Modliłeś się — powiedział pierwszy.

— Do nas — dodał drugi.

— In spirytus sancti — zaintonowali wspólnie.

— Amen — odparłem.

— Idziesz czy nie?

— Za moment — odparłem.

— Dobra — odrzekli obaj „wniebowzięci” i wyszli z pokoju, a do niebieskich waciaków przypięte mieli skrzydła ze styropianu.

Dlaczego stałem kilkadziesiąt metrów nad ziemią po drugiej stronie barierki? Dlaczego nie mogłem zginąć w jakimś powstaniu? Dlaczego zachciało mi się latać? Dobrze rozumiałem Maćka Chełmickiego — lepiej było mu zabić, lepiej było zginąć, niż zostać na starość postem z ramienia któregoś ze skrajnie prawicowych ugrupowań w niepodległej Polsce, która nigdy nie była dobrym miejscem dla byłych albo niedoszłych morderców.

Ten kraj mógłby się nazywać Wypas hien. Wszystko co dobre zginęło, a reszta wypała się na ich trupach, dlatego tak ciężko się tutaj myśli, dlatego tak ciężko się tutaj żyje, dlatego tak bolą oczy, gdy się po trzeźwemu patrzy na świat dookoła. Polecę zatem za tym chłopakiem, dla którego palą tam na dole świeczki. Może nikt o tym nie wiedzieć, nie będę robił cyrku, widowiska, wzorem studenta Palacha, albo tego pana, co się podpalił w dożynki pod koniec sześćdziesiąt którego roku na stadionie Dziesięciolecia w obecności stu tysięcy widzów, na płycie boiska tańczyli młodzi ludzie z uśmiechami przyklejonymi do twarzy i był na trybunie honorowej sam towarzysz Gomułka, a może sam towarzysz Gierek, a jakie to ma znaczenie, najważniejsze, że był tam ten pan, co polał się benzyną i podpalił,

i ci tancerze, mimo iż widzieli, że ten pan cały stoi w płomieniach, to oni dalej wywijali te swoje hołubce i przedstawienie dożynkowe trwało, i tysiące ludzi na stadionie i sam pan sekretarz na czele partyjnej delegacji bili z zadowoleniem brawo temu podpalonemu panu, że tak ładnie wygląda, bo człowiek stojący w płomieniach musi wyglądać pięknie i monumentalnie. Jak ten mnich buddyjski na okładce płyty Rage Against the Machine.

Było mi zimno. Skostniałem w mroźnym oddechu listopadowej nocy. Z trudem rozwijałem przyroście do metalu palce. Było tak cicho. Próbowiałem się uśmiechnąć, ale wargi zeszywniały mi w smutnym grymasie. Chciałem polecieć do tych „samobójców”, którzy rzucali się z motykami na słońce, w przekonaniu, że Goliat może zostać pokonany przez Dawida, że Polska Chrystusem narodów, że Polska Winkelriedem, że Polska szklanych domów.

Odżegnywałem się od ciemnych garniturów, najnowszych modeli telefonów komórkowych, modnych i drogich samochodów, modnych i drogich mieszkań w modnych i drogich dzielnicach. To nie był mój raj. Chciałem ujrzeć tych wszystkich Baczyńskich, Wysoczych, bez których Polska, moja utęskniona Polska, by-

łaby duchową pustynią. Chciałem ich zawołać, chciałem zawołać naszych chłopaków.

— Kogo miałeś na myśli, kiedy pomyślałeś do mnie, czy zawołać naszych chłopaków? Jakich chłopaków miałeś na myśli? — spytał mnie.

— Jakich chłopaków miałem na myśli? — powtórzyłem pytanie. — Czy ja wiem? Tak w ogóle. Naszych chłopaków... na przykład z Powstania Listopadowego.

— Aha. No tak. No tych z Wiosny Ludów miałeś chyba też na myśli?

— Też. Miałem też na myśli tych z Powstania Styczniowego.

— I tych z Komuny Paryskiej.

— Też. I tych z Wojny Domowej w Hiszpanii.

— I tych z Powstania Warszawskiego.

— Tak. Tych też oczywiście miałem na myśli.

— Gdybyś ich zawołał i gdyby cię usłuchali, to byłaby to wielka piękna armia duchów.

Rozpostarłem zmarznięte ręce i lekko odbiłem się od balkonu. Na wschodzie żarzył się pomarańczowy świt. Był środek maja, musiało być kilka minut po piątej, gdy wystartowałem do Ciebie, Kochana. Spojrzałem jeszcze na dół. Stała tam matka tego chłopca, co zabił się pół roku temu, tego samego co zostawił buta

na balkonie u Marcelusa. Zawsze tu przychodziła o świcie, żeby zapalić znicze i zostawić świeże kwiaty. Zauważyłem, że uśmiechała się do mnie, pomachała mi nawet ręką. Pomachałem jej również. Leciąłem nad tym swoim–nieswoim miastem, szerokim łukiem ominąłem jasnogórską wieżę i skierowałem się w stronę tego zadupia, gdzie się urodziłem. Poczułem ulgę, gdy ujrzałem dobrze mi znane domostwa, ulice, rzekę, nad którą w dzieciństwie chodziłem do szkoły – teraz była samotna i zarośnięta, nikt tutaj nie spacerował. Zdziwiłem się, że od czasów mojego dzieciństwa zrobiło się tutaj tak smutno i dziko, jednak także ponury widok rzeki był dla mnie radosny. Wracąłem. Lekko zmieniałem położenie dłoni i lotem ukośnym tuż za dworcem PKP skręciłem w stronę piętrówki z czerwonym dachem – tam był mój dom.

Jeszcze spałaś.

KOLEGA

— Niedługo zaczniemy odwiedzać się na cmentarzach — powiedział.

Nie chciało mi się go słuchać. I tak byliśmy już za starzy i dobrze wiedzieliśmy, że życie jest nie do zniesienia, więc tłukliśmy się z nim od rana do nocy. Nie pytaliśmy: dlaczego? Byliśmy zdarci, jak podeszwy starych butów, ale milczeliśmy. I tak było dobrze. Dobrze o tym wiedział, więc po co zaczynał truć? Whisky William Peel delikatnie potyskiwała żółtym blaskiem.

W miejscowości, do której wyruszam codziennie punkt 7:30, młodzi mężczyźni licznie odbierają sobie życie. W ciągu roku dwanaście takich przypadków — raz na miesiąc młody chłopak staje przed własnym sądem z własnego życia i przed trzydziestką wydaje na siebie wyrok. Wiszą na rurach w łazience albo piwnicy. Spadają z dachów. Wpadają pod koła pendolino. Żadnych listów, żadnych tłumaczeń, chociaż długo

chodzą z tym zamiarem w tyle głowy, to o egzekucji przesądza impuls.

Nie chodzę na ich pogrzeby, chociaż znałem prawie wszystkich. Na pogrzeby nie chodzę, żeby nie oglądać tych wszystkich zapłakanych bliskich, którzy z zamkniętymi ustami zadają niepotrzebne pytania, na które i tak nie usłyszą odpowiedzi. Nie chodzę na te pogrzeby jeszcze z tego powodu, że kiedyś byłem na takim pogrzebie, jak byłem dzieckiem – umarł ojciec naszej koleżanki z klasy i na ten pogrzeb kazali nam iść wszystkim i przyszedł też jeden kolega tego umarłego taty, a kiedy spuszczano trumnę do grobu temu koledze taty naszej koleżanki przez nogawkę wysunęła się butelka denaturatu i potoczyła się aż pod piaszczystą pryzmę, prawie w to miejsce, gdzie stał ksiądz, i nie była to zwykła butelka denaturatu, taka, jaką w cudownych latach osiemdziesiątych zdarzało się wypić prawie każdemu z powodu reglamentacji, ale nie mnie, bo ja byłem wtedy za mały, żeby pić, ale ta butelka, która leżała teraz przy wykopanym grobie, przy czarnej dziurze w ziemi, w siąpiącym deszczu, była wyjątkowa – miała fioletową, śliczną, błyszczącą zakrętkę, a ja byłem świadkiem, jak ten kolega zmarłego ojca naszej koleżanki kupował w gieesie tę butelkę i pani ekspe-

dientka podała mu najpierw normalną jagodziankę ze srebrną nakrętką, a on sobie na wystawie już wcześniej upatrzył tę odświętną, fioletową, i poprosił o wymianę, a ta odświętna butelka w momencie, gdy panowie grabarze spuszczaali zmarłego do środka ziemi, gdy usłyszeliśmy już to charakterystyczne puknięcie, gdy się trumna za bardzo przechyliła w jedną stronę, to wtedy ta butelka sarkastycznie wyskoczyła koledze taty naszej koleżanki z nogawki i potoczyła się pod samą piaszczystą pryzmę, prawie pod sam głęboko fioletowy ornat księdza i te dwa fiolety — księdza i denaturatu — połączyły się ze sobą tworząc tajemniczą paralełę, która tak rozbawiła zebranych, że wszyscy się śmiali, tylko nasza koleżanka z klasy bardzo płakała za swoim tatusem. Tatusiem, którego nie było, bo się zapił. I my będziemy musieli unikać odpowiedzialności za takie momenty, żeby nie oglądać, nie uczestniczyć w tych groteskach codzienności. Tego zdążyliśmy się już nauczyć, bo ta gra toczy się o życie, ta gra toczy się o śmierć i ta odpowiedzialność w związku z tym robi się olbrzymia.

Nie szkodzi. W sumie to nawet dobrze się składa, bo zawsze lubiliśmy błąkać się po starych cmentarzach, słuchając Deine Lakaien.

W związku z tym będziemy przychodzić na nasze groby dopiero po pogrzebie, gdy wszyscy rozejdą się już na stypę albo do domu, gdy grabarze skończą swoją robotę, zostawiając trapez wilgotnego piachu albo zamurowaną wnękę na urnę. Będziemy przychodzić z flaszką w kieszeni, tak jak dziś siedzimy nad grobem Wani, nieznanego radzieckiego żołnierza na cmentarzu Kule. Będziemy wtedy sobie mówić wszystkie rzeczy, których nie powiedzieliśmy sobie, gdy tlen wypełniał nasze komórki i tkanki, powiemy sobie wszystkie naprawdę istotne sprawy, bo będzie w nas żyła, coraz mocniej z każdym dniem, świadomość, że meta jest już blisko, że każdy następny dzień po śmierci kolejnego kumpla jest dniem darowanym i tak będziemy snuć nasze samotne mantry postapokalipsy.

Ale na razie możemy jeszcze pomilczeć.

KOZA

Koza przyszedł. Był czymś wnerwiony. W dłoni ścisnął kawałek wilgotnej szmatki. Ręce mu się strasznie pociły. Zdjął ciężkie palto i usiadł na krześle. Wszyscy obecni milczeli. W pustym pomieszczeniu było siedem osób. Sami mężczyźni. Szarzy i zarośnięci. Ich twarze popuchnięte, oczy zmęczone. Włosy im sterczały albo zlepiały się w połyskujące kosmyki. Czekali na coś, co mogłoby ich dobić. Założyli sami tę grupę wsparcia, bo nikt nie chciał ich w żadnym klubie AA, ani w żadnym innym klubie.

Bezalkoholowa melina składała się z dwóch pięter. Na dole była kuchnia tak samo obskurna jak pokój u góry. Garnki, talarze i sztucce walały się na stole, półce i podłodze. Zlewu nie było. Tylko kran i miska. W kranie nie było wody. Z miski śmierdziało uryną. Ściana była kiedyś pomalowana. Resztki farby

łuszczyły się gdzieś na wilgotnym tynku. Był jeszcze plakat Kennetha Zeigbo. Pod parapetem przebiegł szczur. Koza zdjął but i rzucił za spasionym gryzoniem. Trafił. Szczur zapiszczał, potem złapał zniszczony trep za odklejoną podeszwę i zbiegł po schodkach. Słysząc było delikatne szuranie pazurków. Zobaczyli mignięcie tysego ogonka. Koza machnął ręką i milczał dalej.

Do tego miejsca trzeba było przedzierać się przez okoliczne trzciny. Podłoże było grząskie. Czasem zapadali się po kolana w błoto. Ale zawsze docierali na czas.

Pokój był pusty. Stały tylko krzesła. Na krzesłach siedzieli mężczyźni. Wyglądali na przepitych, ale byli trzeźwi. Na podłodze czarne plamy z błota. W oknie wyrwa źle zaklejona czarną taśmą. Czasami przez tę dziurę wfruwał samotny gołąb. Siedział chwilę, przycupnięty, i robił ptasią kupę. Rozglądał się po pustych twarzach i smutniał. Potem odlatywał. Znali go tutaj wszyscy. Rzucali mu resztki z kieszeni swoich marynarek. Były tam same trociny i paprochy. Stare bilety mpk. Nadpalone zapałki. Paragony z żabki i biedronki. Wieczko od pojemnika na mocz. Pamiątki. Pozostałości. Chcieli się ich pozbyć.

Niedziela mijata ich jak pks. Koza dawno nie był w kościele. Lubił tam chodzić, ale bał się, że cuchnie. Ksiądz nie zaglądał tutaj po kolędzie. Ten dom nie miał numeru, nie należał zatem do żadnej parafii.

Koza rozglądał się, kręcił głową, znowu zwieszał zmierzwiony łeb. Pozostali czekali na niego, żeby coś powiedział. A on nic. Chybotał się tylko na stołku do tyłu i do przodu, do przodu i do tyłu. Wyciągnął komórkę, starą Nokię, ale była rozładowana. Kabel do ładowania zginął już dawno. A tak pogratby w węża. Kiedyś bardzo to lubił. Wspomnienia z poprzedniego życia nawiedzały Kozę czasem i nie dawały spokoju. Były kolorowe, pełne śmiechu i tanich alkoholi, które też były kolorowe. Nie lubił kolorów. Męczyły go. Pamiętał, że gra w węża była brązowo-szara. Tak bardzo chciał teraz naciskać wytarte przyciski, że robił to bezwiednie, choć na małym ekranie nie pojawiał się żaden punkcik.

Pomyślał, że mógłby włączyć radio, ale nie było tutaj radia. Był tylko telewizor, ale stary model. To dobrze, bo pewnie byłby czarno-biały, gdyby nie rozbity kineskop. Nikt z obecnych nie umiał tego naprawić, więc trzymali w nim książki. Książki były z biblioteki. Do biblioteki chodzili co jakiś czas i zabierali wystawione, zlikwidowane egzemplarze. Głównie klasykę.

Czytali je, bo woleli czytać niż mówić, a później topili w pobliskim bagnie. To stamtąd przychodziły do nich szczury i szczurzyce obżarte utopionymi woluminami. Czekwały aż zdechną. Na próżno. Spoglądały kontrolnie czarnymi ślepkami i szybko znikwały.

Koza chciał coś powiedzieć. Wszyscy spojrzeli na niego. Czekali. A on sapnął tylko ciężko. Machnął ręką. Złamał się w sobie jeszcze bardziej. W tym miejscu jesień była stanem permanentnym i trwała cały rok, jakby czas zatrzymał się w listopadzie nazajutrz po Wszystkich Świętych. Milczenie pasowało do tego miejsca i nie chciał tego zakłócać. Siedzieli więc w ciszy.

Nie pili już od dwóch lat. I nic się nie zmieniało. Dlaczego?

OUTRO

To tyle.

Turniej Jednego Opowiadania w dwa tysiące osiemnastym roku odbywał się w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie w ramach cyklu wydarzeń Literacki Piątek przy współpracy z Kołem Literackim Anafora.

Poszczególne epizody sezonu drugiego odbyły się w następujących terminach:

S02.e01 — 29 czerwca 2018

S02.e02 — 27 lipca 2018

S02.e03 — 17 sierpnia 2018

S02.e04 — 28 września 2018

S02.e05 — 26 października 2018

S02.e06 — 30 listopada 2018

W pierwszym sezonie TJO odbyło się raz, z inicjatywy Koła Literackiego Anafora. Wówczas TJO odbył się w dwóch kategoriach: Konkurs Główny i Flash Fiction.

Szczegóły można znaleźć na stronie: gaudemater.pl

Copyright © for texts 2019-2025 by Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”
Copyright © for this edition by Koło Literackie Anafora
Copyright © for texts by Kuba Kacprzak, Barbara Strzelbicka,
Emilia Ślimok, Marek Palutkiewicz, Paulina Wysocka-Morawiec,
Sławomir Domański

Redakcja i korekta

Michał Wilk

Projekt okładki, skład

WyTwórnia

Na okładce wykorzystano zdjęcie Ernesta Hemingwaya, pochodzące
z domeny publicznej – fot. Look Magazine (U.S. National Archives
& Records Administration), Wikimedia Commons, domena publiczna

Wydawca

Koło Literackie Anafora

al. Armii Krajowej 36A, 42-200 Częstochowa

anafora.dmz.edu.pl

Mecenas

Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie

ul. Dąbrowskiego 1, 42-202 Częstochowa

gaudemater.pl

Wykorzystane kroje pisma

Signika Negative (SIL Open Font License)

Copyright © 2011 by Anna Giedryś (ancymonic.com)

Oswald (SIL Open Font License)

Copyright © 2012 by Vernon Adams

Książka jest dostępna również w wersji elektronicznej. Zezwalamy na jej
udostępnianie i rozpowszechnianie, jednak w niezmienionej formie
i z poszanowaniem praw autorskich.

ISBN: 978-83-949600-5-6 (druk)

ISBN: 978-83-949600-6-3 (ebook, pdf)

ISBN: 978-83-949600-7-0 (ebook, mobi)

Cena: 0 złotych

Czas poświęcony na lekturę pojedynczych opowiadań nie powinien wynieść zbyt wiele, na pewno nie dłużej niż pięć minut. Dlatego, nawet uwzględniając kilkunastominutową przerwę na kawę lub ze dwie czy trzy pięciominutowe przerwy na papierosa lub przerwy na jedno i drugie, jak kto woli, a może na coś jeszcze innego, co da się zrobić szybko i przyjemnie, można w około dziewięćdziesiąt minut przeczytać całość. A co szybsze w czytaniu osoby może przeczytać Antologię w drodze powrotnej do domu lub w przerwie na... — tu już każdy sobie wstawi, co uzna za stosowne.

Michał Wilk

Cena: 0 złotych

ISBN: 978-83-949600-5-6 (druk)

ISBN: 978-83-949600-6-3 (ebook, pdf)

ISBN: 978-83-949600-7-0 (ebook, mobi)